

M. J. Wielopolska



WIEŻIENNE  
DROGI  
KOMENDANTA

**Zakupione**

o Antykwariat

Koda

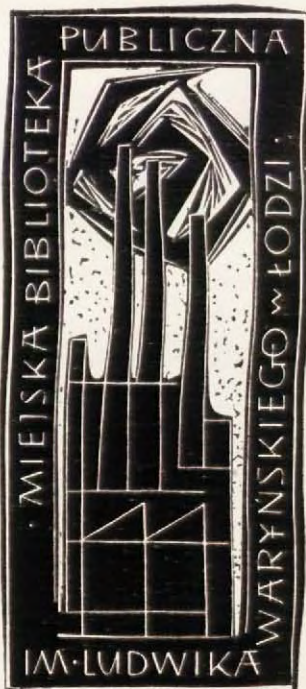
dla

Miejsciej Biblioteki Publicznej

im. LUDWIKA WARYŃSKIEGO

w ŁODZI

187056 do 157 1868



WIEZIENNE  
DROGI  
KOMENDANTA



Portret Marszałka z czasów legionowych.

M. J. WIELOPOLSKA

WIĘZIENNE  
DROGI  
KOMENDANTA

GDAŃSK-SZPANDAWA-WESEL-MAGDEBURG

NAKŁADEM GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ  
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 11

OKŁADKA I OPRACOWANIE GRAFICZNE  
ATELIER GIRS-BARCZ, WARSZAWA

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1 9 3 9



843.8





SĄ KSIĄŻKI, KTÓRE ŻŁOBIĄ ŚLAD GŁĘBOKI, KTÓRE NASUWAJĄ MYŚLI, KTÓRE PCHAJĄ DO CZYNU, KTÓRE KOJĄ LUB BURZĄ, ALE W KAŻDYM RAZIE NIE PRZECHODZĄ BEZ ECHA. JEDNĄ Z TAKICH KSIĄŻEK BYŁ BENIAMINÓW GEN. SKŁADKOWSKIEGO.

PRZECZYTAWSZY JĄ, DŁUGO NAD NIĄ DUMAŁAM I ZRAZU SĄDZIŁAM, ŻE SKOŃCZY SIĘ NA ROZMYŚLANIU NAD NIĄ LUB OMAWIANIU JEJ Z PRZYJACIÓŁMI, EWENTUALNIE NA SKREŚLENIU PARU WNIOSKÓW NA PAPIERZE. TYMCZASEM NIEDOCENIŁAM JEJ SIŁY ODŚRODKOWEJ, WYRZUCAJĄCEJ CZŁOWIEKA, NIE TYLKO MYŚLOWO, Z WYGODNEGO KRĘGU BYTOWANIA. PO PARU DNIACH CZUŁAM CORAZ SILNIEJ POTRZEBĘ ZREALIZOWANIA PIELGRZYMOK, DO KTÓRYCH KSIĄŻKA PCHAŁA ŻYWIOŁOWO. JEJ REALIZM ROMANTYCZNY DOMAGAŁ SIĘ REALNEGO ODDŹWIĘKU. POMYŚLAŁAM O MAŁEJ PODRÓŻY DO MIEJSC PAMIĘTNYCH, DO TEGOŻ WŁAŚNIE BENIAMINOWA, DO SZCZYPIÓRNA, ALE KRÓTKO TRWAŁY TE PLANY. ŻYWIOŁOWO BOWIEM NASUNEŁO SIĘ PRAGNIENIE ODWIEDZENIA TEJ „TWIERDZY“, KTÓREJ FORTAMI TYLKO, WEDLE GEN. SŁADKOWSKIEGO, BYŁ

BENIAMINÓW I SZCZYPIÓRNO, I RUNĄŁ NA MNIE PROJEKT JAZDY MAGDEBURSKĄ TRASĄ KOMENDANTA.

MAGDEBURG I POPRZEDZAJĄCE GO WIĘZIENIA W GDAŃSKU, SZPANDAWIE I WESEL MAJĄ LITERATURĘ BARDZO SKĄPĄ; CORAZ DOSZCZĘTNIEJ ZNIKAJĄ ŚLADY DAWNYCH GMACHÓW WIĘZIENNYCH I FORTEC, Z KTÓRYCH DWIE ZRESZTĄ JUŻ NIE ISTNIEJĄ (MAGDEBURG-WESEL) WYMIERAJĄ ŚWIADKOWIE, GINĄ BIERNI UCZESTNICY CIERNISTEJ EPOPEI, UCZESTNICY CZYNNI ZAPOMINAJĄ — MGŁA CORAZ GĘSTSZA ZACZYNA SIĘ ROZSNUWAĆ NAD CAŁYM TERENEM KOMENDANTOWEJ KALWARII. A ŻE OBECNIE STOSUNKI NASZE Z ZACHODNIM SĄSIADEM UŁOŻYŁY SIĘ PRYZYWOICIE, ŻE WSZELKIE POSZUKIWANIA SĄ UŁATWIONE, CHWIŁA ZATEM JEDYNA I MOŻE OSTATNIA, ABY JĄ UCHWYCIĆ I ROZPOCZĄĆ POSZUKIWANIA, ZANIM CZAS, OBOJĘTNY NA PAMIĄTKI I HISTORIĘ, DOKONA RESZTY WYROKÓW NA MURACH TWIERDZ, NA PAPIERACH, DOKUMENTACH I LUDZIACH.

W LITERATURZE MA MAGDEBURG CZTERY WŁAŚCIWIE POZYCJE: 1) KRÓTKA WZMIANKA MARSZAŁKA PIŁSUD-

SKIEGO W PROLOGU DO „MOICH PIERWSZYCH BOJÓW“, 2) WSPOMNIENIE GEN. KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO<sup>1</sup> „Z LEGIONÓW DO MAGDEBURGA“, W ZBIOROWYM WYDANIU PT. „ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW“, 3) W TYMŻE DZIELE NOTATKI MICHAŁA SOKOLNICKIEGO<sup>2</sup> „PRZED ARESZTOWANIEM KOMENDANTA“ I 4) LIST HR. KESSLERA,<sup>3</sup> OMAWIAJĄCY ZWOLNIENIE MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO Z TWIERDZY MAGDEBURSKIEJ, LIST PISANY BEZPOŚREDNIO PO FAKCIE, DATOWANY 12. XI. 1918 ROKU (ZAPEWNE Z WARSZAWY WYSŁANY DO OSOBY NIEWYMIENIONEJ), A ZAMIESZCZONY W NUMERZE *FRANKFURTER ZEITUNG* Z DNIA 7. X. 1928 R. LIST HR. KESSLERA PRZETŁUMACZYŁ I, OPATRZYWSZY KOMENTARZAMI, PODAŁ W SVOJEJ PRACY: „Z DZIEJÓW DAWNYCH I NAJNOWSZYCH“ MJR WAŁAW LIPIŃSKI.

W 1935 R. PRZESŁAŁ ADIUTANTURZE W BELWEDERZE SVOJE WSPOMNIENIA W MASZYNOPISIE PT. „*MEINE BEGEGNUNG MIT PIŁSUDSKI*“ MAJOR VAN

<sup>1</sup> Wierny towarzysz bojów Marsz. Piłsudskiego i towarzysz więzienny na terenie Niemiec.

<sup>2</sup> Działacz niepodległościowy, autor wielu dzieł.

<sup>3</sup> Konwojent Marsz. Piłsudskiego wraz z mjr. van Gülpenem w podróży Magdeburg—Warszawa.

GÜLPEN, OFICER NIEMIECKI, KTÓRY WRAZ Z ROTMISTRZEM HR. KESSLEREM ODWOZIŁ MARSZAŁKA Z MAGDEBURGA DO WARSZAWY. DUPLIKAT TEGO MASZYNOPISU WRĘCZYŁ MJR VAN GÜLPEN MNIE, PODCZAS MOJEJ BYTNOŚCI W BERLINIE, JEDNAK, O ILE WSZYSTKIE CZTERY POPRZEDNIO WYMIENIONE RELACJE Z WYPADKÓW MAGDEBURSKICH SĄ ZE SOBĄ ZGODNE, PRAWIE CO DO JOTY, O TYLE W PAMIĘCI MJRA VAN GÜLPENA ZATARŁO SIĘ WIELE SZCZEGÓŁÓW. NIE PAMIĘTA NAWET, NP., ŻE TOWARZYSZYŁ MU HR. KESSLER Z MAGDEBURGA DO BERLINA I Z BERLINA DO WARSZAWY. MOŻLIWE, ŻE ROZMYŚLNIENIE NIE PAMIĘTA, GDYŻ, ZDAJE SIĘ, ŻE NAZWISKO HR. KESSLERA JEST OBECNIE SKREŚLONE Z LISTY OBYWATELI NIEMIEC HITLEROWSKICH.<sup>4</sup>

— *ER WAR ZU STARK NACH LINKS...* ODPOWIEDZIANO KRÓTKO NA MOJE NAIWNE PYTANIE GDZIE JEST I CZY MOGLĄBYM SIĘ Z NIM WIDZIEĆ. MOŻE W OGÓLE NIKT GO JUŻ NIE UJRZY I STĄD WYMOWNE MILCZENIE VAN GÜLPENA. ALE I INNE ZDARZENIA, KTÓRE ZASZŁY W PODRÓŻY I W WARSZAWIE, PŁĄCZE MJR VAN GÜLPEN. Z SZCZERYM PODZI-

<sup>4</sup> Hr. Kessler mieszka w Paryżu.

WEM O MARSZAŁKU PIŁSUDSKIM SIĘ WYRAŻAJĄC, NIE ODDAŁ TYCH CHWIL Z ABSOLUTNĄ DOKŁADNOŚCIĄ.

SIEDEMNAŚCIE LAT ZROBIŁO SWOJE!!! JEDNAK I W RELACJI VAN GÜLPE-NA ZNAJDZIEMY CIEKAWĘ PRZYCZYNKI, O KTÓRYCH PÓŹNIEJ.

Z CIERNISTYCH, WIĘZIENNYCH DRÓG MARSZAŁKA, SYBIR ZOSTAŁ JUŻ ZWIEDZONY I OPRACOWANY PRZEZ KPT. M. B. LEPECKIEGO. REPORTAŻ JEGO POJAWIŁ SIĘ NA ŁAMACH KURIERA PORANNEGO W 1934 R. NIESTETY, NIEWIELE ZNALAZŁ KPT. LEPECKI ŚLADÓW KOMENDANTA NA DALEKIEJ, MROŻNEJ ZIEMI NIEWOLI, CHOĆ TAKŻE I JEGO INFORMACJE SĄ CENNE. PRZEBIEG ARSZTOWANIA I UWOLNIENIA MARSZAŁKA Z WIĘZIENNEGO SZPITALA ŚW. MIKOŁAJA CUDOTWÓRCY W PETERSBURGU PODAŁO SZCZUPŁE ZBIOROWE WYDANIE „IGNISU“ W R. 1924 (PASZKOWSKA-DEMIDOWICZ — PROF. MAZURKIEWICZ — PRAUSS I MIKLASZEWSKI), ALE SZLAKIEM WIĘZIEŃ NIEMIECKICH NIE JEŹDZIŁ JESZCZE NIKT. MNIE PIERWSZEJ PRZYPADŁ TEN ZASZCZYT W UDZIALE.

DZIĘKI MATERIALNEJ I MORALNEJ POMOCY REDAKCJI „KURIERA PORANNEGO“, KTÓREGO ÓWCZESNY NACZELNY

REDAKTOR WOJCIECH STPICZYŃSKI, SAM ONGIŚ WIĘZIEŃ HAVELBERSKIEGO OBOZU, A SZEFE MÓJ OD CO NAJMNIEJ SIĘDMIU LAT, BO OD CZASU „GŁOSU PRAWDY“, ODNIÓSŁ SIĘ DO PLANOWANEJ MOJEJ IMPREZY Z NIEZWYKŁĄ I ZROZUMIAŁĄ ŻYCZLIWOŚCIĄ. DZIĘKI POMOCY MINISTERSTWA SPRAW ZAGRANICZNYCH I POLSKICH PLACÓWEK DYPLOMATYCZNYCH W BERLINIE I GDAŃSKU PRZEBYŁAM TĘ TRASĘ, MAJĄC MAXIMUM UŁATWIEŃ I DOSTĘP DO DZIEDZIN NA OGÓŁ DOŚĆ JESZCZE NIEDOSTĘPNYCH. PAN AMBASADOR LIPSKI, P. MINISTER PAPÉE, DR KIRKEN I KPT. STEBLIK W BERLINIE ORAZ P. NOWICKI W GDAŃSKU, NIE SZCZĘDZILI MI SZCZEREJ POMOCY I RADY. A ŻE TEMAT SAM BYŁ PONADTO Z DZIEDZINY NAJBARDZIEJ PORYWAJĄCEJ I EMOCJONALNEJ, WIĘC WIELKIEJ SZTUKI NIE DOKAZAŁAM SPISAWSZY TE WRAŻENIA I ZOBRAZOWAWSZY ZEBRANY MATERIAŁ HISTORYCZNO-DYDAKTYCZNY JAK I ILUSTRACYJNY.

CZŁOWIEK CHODZIŁ ODURZONY I WZRUSZONY PO SZARYCH, ZIMNYCH KAZAMATACH, PO GROŹNYCH RU-

MOWISKACH ZBURZONYCH JUŻ CYTADEL I UCZYŁ SIĘ I PODZIWIAŁ, JAK W STOSUNKU DO WIELKICH LUDZI HISTORIA JEST UKŁADNA, JAK ŁĄCZY ICH ISTNIENIE PRZĘSŁEM NAJTWARD-SZEJ LOGIKI Z FAKTAMI, JAK ŁASKAWIE NORMUJE BIEG ZDARZEŃ, NAWET TRAGICZNYCH ABY NIE WYPADAŁY POZA RAMY WYKUWANEJ WEWNĘTRZNĄ SIŁĄ POSTACI.

MARSZAŁEK JEST TAK SILNIE ZWIĄZANY LOGIKĄ Z DZIEJAMI NASZEGO KRAJU, ŻE CHWILAMI CZYNI AŻ WRĄŻENIE ZJAWISKA HISTORYCZNIE POCODNEGO, ACZKOLWIEK W SAMEJ RZECZY JEST NAJBARDZIEJ SAMOISTNYM ZJAWISKIEM, JAKIE ZNAJĄ DZIEJE. ZWŁASZCZA UDERZYŁO MNIE TO W SZPANDAWIE I W MAGDEBURGU.

ALE — NIE UPRZEDZAJMY WYPADKÓW...

DROGĘ ODBYŁAM W DNIACH OD 19 LUTEGO DO 1 MARCA 1935 R., W ODWROTNYM, NIŻ MARSZAŁEK PIŁSUDSKI, KIERUNKU, JEDNAK, ABY NIE ODBIEGAĆ OD HISTORYCZNEJ TRASY, PÓJDĘ ZA JEGO ŚLADEM W ISTOTNEJ KOLEJNOŚCI ETAPÓW. DATY OPIERAŁAM O PAMIĘTNIK GEN. SOSNKOWSKIEGO, JEŚLI ICH INNY DOKUMENT WIAROGODNY NIE SKORY-

GOWAŁ, WZGLĘDNIE O DOKUMENTY NIEMIECKIE.

DZIŚ NIE ŻYJE WIELKI WIĘZIEŃ MAGDEBURSKI. ZMIENIŁO SIĘ OBLICZE OSIEROCONEGO NARODU, ZMIENIŁ SIĘ NURT ŻYCIA BIEŻĄCY. FAKTY JEDNAK Z PRZESZŁOŚCI POZOSTAŁY TE SAME, NIE ZMIENIAM WIĘC NICZEGO NA KARTACH MOJEJ KSIĄŻKI, CHOĆ PISZĄC, NIE PRZECZUWAŁAM GROMU...

*M. J. WIEŁOPOLSKA*

# GDAŃSK

23. 7. 1917 r. – 29. 7. 1917 r.

**D**NIA 22 LIPCA 1917 ROKU, JAK WIA-  
domo zostali aresztowani w Warszawie  
Komendant i jego szef sztabu gen. Kazimierz  
Sosnkowski, każdy oddzielnie.

Mecenas Paschalski przypomniał 15. XI  
1920 roku, przy uroczystości wręczania Ko-  
mendantowi marszałkowskiej buławy, słowa  
Besselera: <sup>5</sup>

— Myślicie, że nie zdajemy sobie sprawy  
z uroku, jaki wywiera imię Piłsudskiego w wa-  
szych podziemnych organizacjach?!

Doskonale sobie zdawali sprawę; dlatego  
22 lipca 1917 roku Komendant i Jego Szef zo-  
stali aresztowani.

Wczesnym rankiem spotkali się w salo-  
nie recepcyjnym Dworca Głównego, otoczeni  
eskortą „czterech rosłych żandar-  
mów i oficera pruskiego w randze  
kapitana“, zażenowanego wybitnie swoją  
rolą. Gen. Sosnkowski opisuje dokładnie we  
wspomnieniach swoich te chwile. Marszałek,  
ubrany w swój szaroniebieski mundur legio-  
nowy, bez broni, wsiadł do przedziału II kla-  
sy — z dwóch Jego stron usadowili się żan-  
darmi, naprzeciwko umieszczono gen. Sosn-  
kowskiego, również w towarzystwie dwóch

<sup>5</sup> Bessler był generał-gubernatorem Warszawy (z ramie-  
nia Prusaków) w czasie okupacji.



Medal wybity na pamiątkę aresztowania Komendanta 22. 7. 1917 r. (Ze zbiorów Kazimierza Dąbrowskiego, Warszawa).

żandarmów, a kapitan, siedzący przy oknie, patrzył milcząc na mknące szybko, słońcem lipcowym rozelśnione fragmenty tego kraju, któremu zabierał WODZA.

O 5-ej po południu przybyli, drogą przez Łódź i Kalisz, do Poznania. Nie wiadomo, czy inne były wpierw plany Niemców co do zaareztowanych, czy też bezpośrednia linia Warszawa—Gdańsk była zablokowana lub „nieporęczna“, w każdym bądź razie drogą dość okreśną do tego Gdańska ich wieźli i nie-mało byli zdziwieni Komendant i gen. Sosnkowski, gdy z Poznania, po krótkim, dyskretnym postoju w gabinecie naczelnika stacji, zawrócili nagle na Piłę i Tczew ku Gdańskowi.

O 1-ej w nocy 23 lipca stanęli w Gdańsku.

W 18 i pół lat po tych wypadkach przybyłam do Gdańska 27. II. 1935 r. poszukiwać śladów więzienia i pamiątek po Komendancie. Samolot mój — wielki Foker, zdążający do Sowietów, przybył o pół godziny przeszło za

wcześniej, tak silny był wicher gnający go od Berlina. Nie spodziewając się jeszcze lądowania i bliskości portu, dziwiłam się cudnemu jezioru, które zza mgieł porannych wyglądało ku nam perłową, prawie nieruchomą płaszczyzną.

O naiwności!! Nie było to jezioro, był to już Bałtyk i Gdańsk. Samolot obniżył się miękko, jakby na chwilę zapomniał, że nie jest wodosamolotem, tak, że zdawało się, iż muśnie zawadiacko taflę domniemanego jeziora i usiadł, lekko warcząc, przed piękną stacją w typowym stylu Luft-Hansy,<sup>6</sup> witającą gości z nieba wesołym oszkleniem, blaskami nikłów i połyskiem posadzek.

Myślę, że dlatego tyle jest na stacjach lotniczych światła i blasków, aby niebiescy przybysze nie zanedbali byli skonsternowani zbyt nagłą zmianą dekoracji...

## II. W GMATWANINIE PODAŃ

**P**ODANIA O POBYCIE MARSZAŁKA Piłsudskiego w więzieniu gdańskim są rozmaite. Zdawałoby się, że wystarczą wyraźne wskazówki gen. Sosnkowskiego który zupełnie jasno mówi o gmachu, zwanym *GERICHTSGEFÄNGNIS*, czyli zwyczajnym kry-

<sup>6</sup> Styl niemieckich dworców lotniczych.



Plan Gdańska —  
u góry zaznaczony  
punkt, gdzie stoi  
b. więzienie Mar-  
szałka Piłsudskiego.

## DANZIG

minale cywilnym. Ale Michał Sokolnicki pisał 6 grudnia 1918, po długiej rozmowie z Marszałkiem Piłsudskim, że tenże był wywieziony, przed Szpandawą i Weselem, do Weichselmünde; gen. Sosnkowski znowuż pomylił daty w swojej magdeburskiej relacji, tak, że jest dużo jego mimowolnej winy w tym np., iż obchodzimy datę 11 listopada 1918 r. jako dzień powrotu Komendanta z niewoli, podczas gdy powrót ten nastąpił w niedzielę 10 listopada.

A więc, w oszołomieniu godzin przeżywanych, największe „spece“ sypnęły pomyłkami, a choć informacje gen. Sosnkowskiego co do *GERICHTSGEFÄNGNIS* poparło miarodajne oświadczenie samego Komendanta, który wspominał panu ministrowi Papée, że „więzienie w Gdańsku znajdowało się o parę kroków od dworca“, opodal zaś dworca znajduje się istotnie gmach, wskazany przez gen. Sosnkowskiego; ale tyle się płaćtało legend!

Poza Weichselmünde podsuwano jeszcze Westerplatte, a inne wersje wskazywały, z listą świadków, iż więzienie mieściło się w dawnej komendzie niemieckiej, obecnie polskim kasynie, na Neugartenstrasse 7. Ostatnią wersję oparto o zeznania niejakiego p. Jana Kwiatkowskiego, b. dyrektora Drukarni Gdańskiej, mieszkającego w Orłowie. P. Kwiatkowski opowiadał, że jako żołnierz niemieckiej Landwehry pilnował w lipcu 1917 roku, w komendzie wojskowej, tobołów, na których czerniał napis: „*JOSEPH v. PILSUDSKI*“.

### III. OJCIEC DOMU WIĘZIENNEGO

**P**RZED E WSZYSTKIM POSZŁAM DO  
Gerichtsgefängnis na Schiesstange 12.

Od strony ulicy zwyczajna czerwono-bru-

J. B.  
17.  
Wu  
" 2)  
natna kamienica, z małoznaczną tablicą  
u drzwi: *UNTERSUCHUNGSGEFÄNGNIS  
UND STRAFANSTALT DER FREIEN  
STADT DANZIG.*<sup>7</sup> 139559

Dzięki uprzejmości prezydenta Senatu, p. Greisera który kazał usunąć z mojej drogi wszelkie przeszkody, nawet takie, jak paragrafy, nie pozwalające fotografowania „obiektów sądowych“, zdobyć mi się udało wszystko, co się zdobyć dało. Bardzo gościnnie nastrojony dyrektor więzienia oświadczył mi, że wie, iż tu przebywał „*der Marschall von Pilsudski*“, ale nie ma pojęcia, w jakiej celi i na którym piętrze, jest jednak człowiek, który w owych latach pełnił funkcje, zawarte w niesłychanie złożonym tytule, *Gerichtsfängnishausvater*, i że po niego bezzwłocznie pośle.

Czekając na tego „ojca“ o tasiemcowo wyrażającym się stopniu, zwiedzam z dyrektorem więzienia archiwum miejscowe.

Niecierpliwię się. Patrzę bez wielkiej uwagi, a jednocześnie z uczuciem jakiejś rosnącej, podświadomej urazy. Jest coś gnębiącego, drażniącego, nieskończenie bolesnego w poczuciu, iż w tej atmosferze przebiegłości i zbrodni, w najokropniejszych warunkach fizycznych i moralnych przebywał człowiek, którego cała

<sup>7</sup> Więzienie śledcze i więzienie karne Wolnego Miasta Gdańska.

Polska i wszystkie serca nasze chciałyby otoczyć najwyższą sumą bezpieczeństwa, wygody i radości...

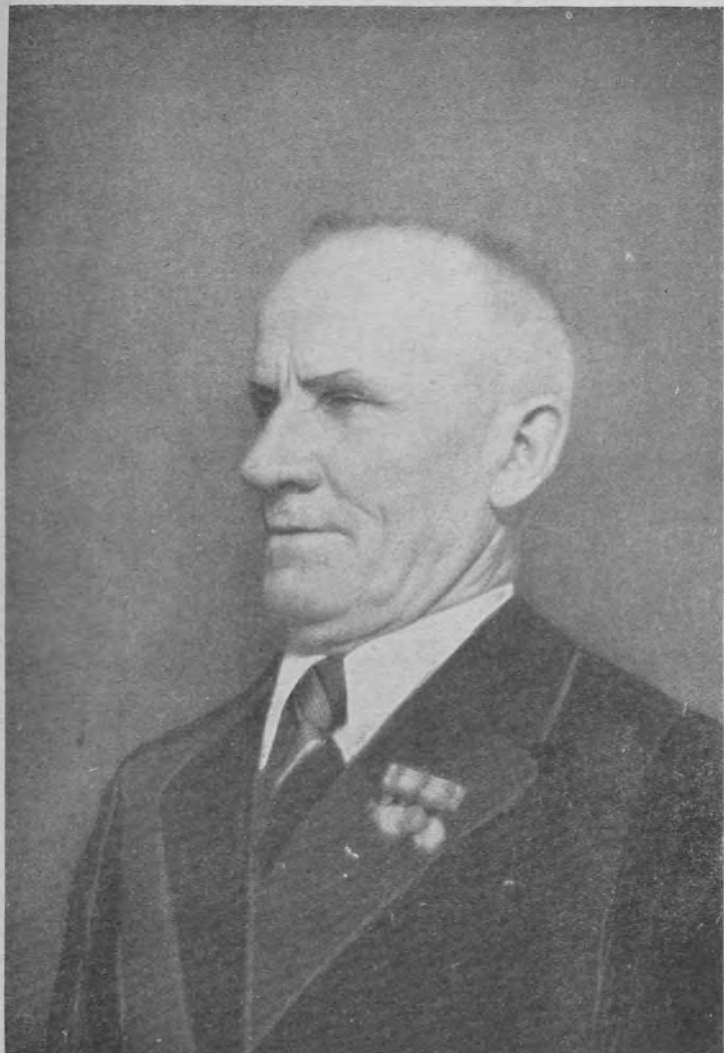
Ale — otwierają się z brzękiem drzwi (tu wszystko robi się z brzękiem ogłuszającym) i wchodzi były *Gerichtsgefängnishaushalter*.<sup>8</sup> Wygląda czupurnie, siwawy, staje na baczność. Zaczynam z nim rozmowę po niemiecku, ale okazuje się, że jest Polakiem. Rodem z Wąbrzeźna, nazywa się Jan Bestjan, od roku 1914 był przydzielony do tego gmachu więziennego, a po roku 1917 przeniesiony został przez Niemców do Siedlec, w tym samym charakterze więziennego „domowego ojca”. Z pewnością on był aniołem stróżem nad peowiakami, którzy, bici i głodzeni, siedzieli tam od czerwca 1918 roku aż do chwili, kiedy komendant plutonu peowiackiego złożył im raport o zdobyciu więzienia i — o powrocie Komen-danta!

Jan Bestjan przebywa obecnie na emeryturze. Pamięta marszałka Piłsudskiego doskonale. Mówi że „pan Marszałek był bardzo grzeczny, ale milczący” i że Niemcy traktowali Go „jako generała”, tzn. z pewnymi atencjami, na przykład nie dali Mu zwykłej celi aresztanckiej, tylko izbę służbową.

— A może po prostu było przepełnienie w areszcie i nie było wyboru?

<sup>8</sup> „Ojciec domu więziennego”.

Jan Bestjan, Polak  
z Wąbrzeźna, który  
był funkcjonarius-  
zem w więzieniu  
gdańskim za cza-  
sów Marszałka.



— Może. Nie wiem. Ale siedział pan Mar-  
szałek w służbowej celi.

— A jaką pan miał funkcję w więzieniu,

bo nie bardzo rozumiem, co to znaczy *Gerichtsgefängnishausvater*?

„Ojciec domu więziennego“ wyprostowuje się z pewną dumą i objaśnia, że jemu były powierzane rzeczy więźniów, odbierane przy rewizji i wejściu do więzienia.

— Ach tak? — mówię i doznaję uczucia zawodu. Niewiele będzie mi mógł opowiedzieć p. Jan Bestjan, który miał do czynienia wyłącznie z garderobą więźniów, nie zaś z nimi samymi. Ale jedną ważną rzecz mogę z nim ustalić.

— Tu nikt nie wie, gdzie siedział pan Marszałek Piłsudski. Czy pan może wskazać mi celę?

— Jakżeż! doskonale pamiętam która! — i prowadzi nas przewiewnymi schodami żelaznymi na III piętro. Gmach huczy i jęczy od naszych kroków, jakby piorun walił za piorunem w jego betonowe ściany. Przypomina mi się ustęp ze wspomnień gen. Sosnkowskiego:

„...Cechą charakterystyczną tej budowli był niezwykle rezonans, spowodowany zarówno konstrukcją, jak i doborem materiału, na który składała się bodaj wyłącznie cegła, beton i żelazo. Toteż odgłosy kroków naszego małego orszaku dźwięczały w ciszy nocnej zgoła przeraźliwie...“

Dźwięczą i teraz jak kilofy, ale zatrzymujemy się. Jesteśmy na III piętrze. Balustrada



Gdańsk. Gmach więzienia, w którym przebywał Marszałek Piłsudski od dnia 23. 7. 1917 r. do 29. 7. tegoż roku.

żelazna biegnie wokół wąskiego korytarza czy hallu, po którego obu stronach są wejścia do cel. Zdążamy ku celi ostatniej, na prawo. Przy jej otwarciu następują pewne ceremonie, bowiem siedzi w niej obecnie jakiś zasądzony na 7 lat wyższy urzędnik. Znowu wystrzał z armaty, znowu jakby się ziemia waliła, brzęk, rechotanie kluczy, podobnych do narzędzi tortur z czasów Torquemady.<sup>9</sup> Ile tych kluczy, ile tych zamków, tych ludzi, aby niewolić jednego człowieka!!!

Otwierają się ciężkie drzwi i od razu uderza mnie specyficzny chłód, specyficzny, dławiący za gardło, beznadziejny smutek celi więziennej, denerwująca szczupłość jej rozmiarów, oschłość jej grubej kraty okiennej, przez którą prowokująco uśmiecha się błękit nieba.

<sup>9</sup> XV w. w Hiszpanii.

Może by nie wyglądała tak strasznie, gdyby nie to cudne, przejaskne, ciepłe, o nieogarniętej przestrzeni niebo wiosenne.

Gen. Sosnkowski pisał:

„...Rozmiary mojej celi wynosiły około pięciu kroków wzdłuż i trzech wszerz, a że nie przypuszczam, aby architekt tej szacownej instytucji, w przewidywaniu jej historycznej roli, wysilał zbytnio swą dekoratorską fantazję, przeto sędzę, że opis mojej celi będzie jednocześnie wierną fotografią celi Komendanta...”

Gen. Sosnkowski pomylił się o parę centymetrów, gdyż Komendant, jak się rzekło, siedział w celi służbowej, nieco większej od zwyczajnych. Urządzenie jednak było to samo. Wąziutkie jak dla paroletniego dziecka łóżko żelazne z wołokiem, wypchanym słomą, na prawo i stolik z krzeselkiem drewnianym — na lewo, ot i wszystko. No i, jak gen. Sosnkowski dodaje, umeblowania dopełniała woniejąca parasza, gdyż podówczas gmach nie był jeszcze skanalizowany. Dziś nie ma jej — zwisa nawet lampa elektryczna od sufitu... Luksus!

— — — — —

Chciałabym zatrzymać się trochę dłużej, trochę się skupić, zastanowić się nad tym, co mógł myśleć Marszałek, gdy Go rozłączono z towarzyszem i gdy zatrzasnęły się za nim ciężkie, kute drzwi? Któryż to raz w życiu

Gdańsk. Cella,  
w której przebywał  
Marszałek Piłsud-  
ski.



usłyszał za sobą zgrzyt kluczy więziennych? Któryż to raz owiała Go ta nagła pustka, ta czarność godziny bieżącej, o nieokreślonej rozpiętości? Ta niewiedza o jutrze, które może być wszystkim: wolnością, dalszym więzieniem, bezterminowym, a może i śmiercią, samotną, śpieszną, pod jakimś murkiem, kulami obłupanym?

Czy uderzało szybciej Jego chrobre, wyniosłe serce, czy też kurczyło się zmęczeniem? Czy usłyszał przewrażliwionymi uszami przez grubość muru więziennego daleki szum Bałtyku, tego, w którego fale miał kazać zanurzyć za lat dwa polskie sztandary? Może ją widział, tę scenę, kierowany zawsze proroczym, nieomylnym, mistycznym instynktem...?

Ale nie dają mi rozmyślać. Jan Bestjan opowiada, że za czasów Marszałka dyrektorem więzienia był p. Neunast, mieszkający dotąd w Gdańsku. Postanawiam go także odnaleźć, ale tymczasem wypytuję jeszcze o gen. Sosnkowskiego.

— Nie pamięta pan tego oficera, który towarzyszył Marszałkowi?

— Nie pamiętam. Ale mówiono w więzieniu, że to bogaty właściciel majątków ziemskich spod Starogardu.

Dziwna rzecz, że gubi się ciągle cień gen. Sosnkowskiego na szlaku Komendantowym. Ani w Szpandawie, ani w Wesel nie zdołałam

jego śladów odszukać, dopiero w Magdeburgu jest jego obecność wyraźnie zanotowana, jako „*Adiutant des Brigadiers v. Pilsudski*” (adiutant brygadiera Piłsudskiego).

Proponuję panu Bestjanowi, aby się dał sfotografować. Mówię mu, że ujrzy swoje oblicze w gazecie, w moim reportażu, w imiennym numerze Marszałka Piłsudskiego.

— A pan Marszałek mnie zobaczy w tej gazecie?

— Myślę, że tak.

Wtedy zgadza się p. Jan Bestjan, ale prosi, aby mógł wstąpić jeszcze do domu po... pruskie odznaczenia, którymi chce pierś swoją przyozdobić, zanim stanie przed obiektywem. Ano, kiedy nie można inaczej, niech się stanie wedle woli pocziwego Wąbrzeźniaka...

Tymczasem jedziemy do p. Neunasta. A nuż zasięgnę u niego jakich nowych informacji o 6-dniowym pobycie Marszałka w Gdańsku? Wita mnie para staruszków, zapatrzonych żałościwie li tylko we własne niedole i chorobę. Dyrektor Neunast, opięty w szlafrok jak w mundur generalski, wysoki, sztywny, odpowiada uprzejmie:

— *Pilsudski?! Natürlich!!!* Naturalnie! Pamiętaj, że był w jego więzieniu! Ale w czasie wojny, niestety, rządziła na terenie więzienia prócz władzy cywilnej, władza wojskowa, mająca własną komendę i do jej dziedziny dy-

rektor cywilny nie miał prawa się mieszać. Oddział wojskowy był zupełnie odosobniony. A więc nie było dane p. Neunastowi nawet dwóch zdań wymienić z więźniem, którego ważność podkreślali Niemcy — choć (dodając sobie w myśli) nie docenili jej rozmiarów.

Skończyło się więc na tym, że ustaliłam dwie tylko sprawy w Gdańsku:

a) bezwzględna już pewność, że Marszałek Piłsudski wprost z dworca został przypro-  
wadzony do gmachu na *Schiesstange 12*, zwa-  
nego dziś *Untersuchungsgefängnis und Straf-  
anstalt der Freien Stadt Danzig* i

b) celę Marszałka.

Część okien gmachu wychodzi obecnie na Komisariat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej i wsłuchuje się w gwar polskiej mowy i w niezbyt daleki łoskot polskiego morza.

#### IV. PODOBŁOCZNA ZŁUD- NOŚĆ SPRAW ZIEMSKICH

KIEDY PRZELATYWAŁAM GRANICĘ niemiecką za Zbąszyniem, myślałam, jak złudną, choć tyle znaczącą rzeczą jest granica jakiegokolwiek państwa! Z lotu ptaka, który czyni, że krajobraz przestaje być krajobrazem, a staje się geometrią, niezliczoną ilością

osi symetrycznych, widzi się bliźniaczą jednakowość linii, tożsamość dróg, identyczność lasów i rzek, śmieszność mrówczych kopczyków i pochodów ludzkich. Tak się wydaje niczym, spod obłoków, kwestia praw, historii, etnografii, geografii, sentymentu!!!

Na szlaku Warszawa—Berlin, za Zbąszyniem, tak wszystko jest podobne temu, co się widzi po stronie poznańskiej! Na przykład dworki wiejskie. Uśmiecham się do nich rozkosznie, bo tu, jak tam, zapatrzone są w chlewnie, zamiast, jak to jest praktykowane wszędzie, w zielone parki i sady. Kiedy mieszkałam swego czasu pod Trzemesznem miałam z okien dworu mało urozmaicony widok na folwarczną gnojówkę, natomiast chlewnia nasza patrzyła na wspaniałą romańsko-barokową katedrę trzemeszneńskiego opactwa i szafirowe wody jeziora. Zazdrościłam nierogaciźnie szczerze, lecz nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego w Poznańskim panuje taki zwyczaj w planowaniu folwarków. Co kraj — to obyczaj...

Teraz, spod obłoków, widzę to samo po stronie niemieckiej: parki rzucone daleko poza dworem, a front pałacyków odbity wdzięcznie, choć mętno, w gnojówce. Ale oto wynurza się jedno poletko chłopskie o wyraźnym kształcie swastyki — mój ty Boże! Czyżby w tej formie zaczynała się rozwijać zapowiedziana przez

Führera reforma rolna?! Tymczasem coraz więcej widać ogrodów, coraz gęściej, coraz regularniejsze, coraz częściej czernieją olbrzymie nazwiska: SCHULTZE i MÜLLER<sup>10</sup> nad szkółkami drzew. Nie można już wątpić, że dojeżdżamy do Berlina.

Istotnie, samolot brawurowo obniża lot — miotką skrzydeł ścierając po prostu kurz z dachów stolicy — jeśli jest kurz w Berlinie! — i wysiadamy.

<sup>10</sup> Bardzo częste i pospolite nazwiska w Niemczech.

# SZPANDAWA

30. 7. 1917 r. – 6. 8. 1917 r.

V. WIELOTWARZOWOŚĆ  
ROCZNIC HISTORYCZNYCH

**D**O SZPANDAWY JEST Z BERLINA około 30 km. Samochodem jeden skok wspaniałą, gładką jak szkło, szosą. Tu przybyli nasi więźniowie 30 lipca 1917 roku. W przeddzień opuszczali Gdańsk, ale już nie razem, rozdzieleni. Ostatni raz ujrzał na sekundę gen. Sosnkowski siwy mundur Marszałka Piłsudskiego w głębi korytarza, w fortecce szpandawskiej.

„...nie przypuszczałem wówczas (powiada General), iż w przeciągu roku z górą nie tylko Go nie zobaczę, lecz nawet nie będę wiedział, gdzie przebywa i jakie są Jego losy...”

Rygor w tym ponurym więzieniu był ciężki, żywność okropna: na rano nie słodzona lura z czarnym chlebem, na obiad menażka kleistej cieczy mączno-wodnistej, z „dwoma pływającymi po niej suszonymi gruszkami“, a na kolację znowu ta sama lura, co rano, i taki sam kawałek czarnego chleba. Żadnych książek, żadnych pism. Odosobnienie kompletne, grobowe. Mimo lata, o godzinie 19.30 rozkaz: spać! i — gaszono światło, a kiedy po kilku godzinach daremnych wysiłków zaśnięcia przychodził zbawczy, niecierpliwie wyczekiwany sen, przerywały go natych-

miast zajażdżały bataliony pluskiew, chmary nie do wybicia. O 5-ej, świtem, budzili więźniów dozorczy i tak co dzień. Trwało to wszystko jednak tylko dni 8, bo już 6 sierpnia, w trzecią rocznicę wymarszu z Krakowa, wymaszerowali nasi jeńcy ze Szpandawy dalej, na jeszcze gorszą poniewierkę.

Jakże inaczej wyruszali wtedy, w r. 1914, z Oleandrów, o trzy lata młodszy, w biedzie, ale triumfalni, ale pełni wiary — nieliczni, ale silni, jak stutysięczna armia...

## VI. SZLAKIEM NASZYCH J A G I E L L O N E K

**S**ZPANDAWA JEST ROZRZUCONYM, dość dużym miastem. Liczy przeszło 140.000 mieszkańców. Uroda jej mieści się w pierścieniu lapislazurowych jezior i w cudownych lasach, bo sama jest brzydka, wyniszczona jakąś furią nowoczesności, która prawie wszystkie zabytki wartościowe zmiotła z powierzchni ziemi. W każdym razie jest dumna, że liczy sobie więcej lat, niż Berlin, stolica kraju, i że była miejscem pobytu wielu panujących głów.

Szpandawa powstała już w XII wieku, fundowana przez Albrechta, zwanego Niedź-

wiedziem. W jej murach kazał Melanchton, przyjaciel Lutra, i szalały rozmaite epidemie, z których jedna, uznana wówczas za pochodzenia diabelskiego, dała źródło powiedzonku: *was macht der Deibel in Spandau?* (co robi diabeł w Szpandawie). Diabeł wedle legendy wcielał się w kobiety, w mnichów, w mniszki i dzieci i czynił spustoszenia niebywale, siarką plując na egzorcyzmy i święconą wodę. No, ale, że wszystko ma swój koniec, więc skończył się i diabeł.

Bywały też i diabllice, wcale urodziwe i niebezpieczne, między innymi, na przykład, Anna Sydow, „piękna giserka“, która tu na cytadeli zmarła, więziona przez kurfirsta Jana Jerzego. Miał się z nią żenić jego ojciec, kurfirst brandenburski Joachim II. Ten ostatni interesuje nas o tyle, że był żonaty z naszą Jagiellonką, Jadwigą, córką Zygmunta Staroego i jego pierwszej żony Barbary Zapolyi.

Królewna była chrzczona w poznańskiej katedrze, przy której się urodziła, w sam dzień św. Józefa, a miała lat 21 kiedy hucznie zaślubiała wyż wspomnianego kurfirsta brandenburskiego, za zezwoleniem papieskim, jako że pierwsza jego małżonka, Saksonka, rodziła się także z Jagiellonki, Barbary, siostry ojcowej. Joachim przybył w mury Krakowa na ślub z bogatą świtą, liczącą przeszło tysiąc ludu i 856 koni. Był piękny i młody i serce miał



Szpandawa, plan miasta. Pośrodku oznaczone miejsce więzienia fortecznego, w którym siedział Marszałek od 30. 7. 1917 r. do 6. 8 tegoż roku.

gorące, ale szczęście królowny niedługo trwało. Smętne wieści zaczęły wnet dochodzić z brandenburskiego dworu, bo nie dość, że nasza Jagiellonka musiała tolerować liczne grze-

szki i wesołe zabawy kurfirsta, ale ponadto musiała znosić brutalność swego pasierba Jana Jerzego i, w końcu, przeżyć odszczepieństwo swego (pod niejednym widocznie względem niewiernego) małżonka i pana. Bo oto pewnego dnia przeszedł kurfirst uroczyście na łono Reformacji, co upamiętnione zostało w Szpandawie pomnikiem, stojącym przed kościołem św. Mikołaja.

Archiwa nasze i pruskie są pełne wzruszających listów Zygmunta Starego do córki i do zięcia, dalej — Zygmunta Augusta do siostry i reszty rodzeństwa, królewien: Zofii, Katarzyny, Izabeli i Anny Jagiellonki, które pisały wyjątkowo często, jak na owe czasy, do „Najjaśniejszey Księżny Pani Jadwigi, z łaski bożej Królowny Polskiej, margrabiny Brandeburskiej etc. Siestry miłościwey...” W archiwum rodziny królewsko-pruskiej w Berlinie znajduje się ciekawy opis wypadku, jakiego doznała królowna Jadwiga, margrabina brandenburska, na myśliwskim zameczku w Grimnitz pod Szpandawą dnia 7. 1. 1551 r., o czym donosi swoistym stylem margraf Jan na Kistrynie imćpanu Andrzejowi, hrabi na Górcie, kasztelanowi poznańskiemu.

Onego dnia znajdowali się w komnacie gościnniej: stara dworka, niewiadomego nazwiska, kurfirst Joachim, nasza Jagiellonka „*ein Hundlein und zwei Marienbilder von golde*



Szpandawa. Więzienie Forteczne (Festungsgefängnis), w którym przebywał Marszałek Piłsudski od 30. 7. 1917 r. do 6. 8 tegoż roku.

*oder silber*“ („jeden piesek i dwa obrazki M. Boskiej w złocie czy srebrze“). I raptem załamała się podłoga, po czym całe towarzystwo runęło w przepaść: margraf, jego żona, stara dworka i oba obrazy Matki Boskiej. Tylko piesek pozostał nietknięty w komnacie...

Bardzo bolała rodzina jagiellońska nad „herzją“ Joachima. Zygmunt Stary walczył jak mógł, za pomocą listów i posłów, o katolicyzm swego zięcia, trwając się zrazu o jego duszę, a następnie o duszę swej ukochanej córki, aby jej mąż-heretyk nie nakłonił do odstępstwa. I tak nawzajem się nawracali. Zygmunt Stary Joachima, nadmieniając, że „wiarę wziął od przodków przez ręce i za światłością Boską“, a Joachim odpowiadał z gorliwością nowonawróconego, że „ufa miłosierdziu boskiemu, iż

ono i samego Króla Jegomości i Nayjaśniejszą Jego Córkę do poznania jasnej prawdy boskiej (czyli luteranizmu) doprowadzi..." Nie doprowadziło do niczego, ale syn Jadwigi Jagiellonki, Zygmunt, podobny na dobitkę jak dwie krople wody do swego dziadka, króla Zygmunta Starego, był pierwszym biskupem magdeburskim, który do tej diecezji wprowadził reformację. Zmarł w roku 1566 ten wnuk Jagiellonów, wszystkie świątynie magdeburskie przerobiwszy na luterzańskie zbory, ich piękności jednak nie niszcząc.

Cytadela szpandawska jeszcze do roku 1701 posiadała basztę imienia Jadwigi i do dziś jest ulica Jadwigi w tym mieście (*Hedwigstrasse*), tak samo zresztą, jak w wielu innych okolicznych miejscowościach, počawszy od Hanoweru. Cała Brandenburgia była spokrewniona z Jagiellonami, polsko-litewskimi panami, i tym to szlakiem właśnie naszych królewien miał iść Józef Piłsudski.

Historia ma swoją zawiłą, ale nieubłaganą logikę.

## VII. KŁOPOTY Z CYTADELAMI

**W**SZPANDAWIE, POZA JAGIELLO-  
nami, przebywał swego czasu Gustaw  
Adolf szwedzki, też krewny naszych monar-



Jadwiga Jagiellonka, córka Zygmunta Starego i Barbary Zapolyi, małżonka Joachima II, Kurfista Brandenburskiego, przebywała często w Szpandawie.

chów; Napoleon wzmacniał jej fortecę w r. 1806; 400 jeńców Francuzów, zmarłych w r. 1870 na ospę, spoczywa na tutejszym cmentarzu — do zwiedzania jednak, powtarzam, nie ma tu prawie nic, gdyż wszystko zniszczył pęd ku unowocześnianiu się, wyjątkowo na gruncie szpandawskim gwałtowny. Nie tracę więc czasu na oglądanie zabytków, tylko rozpoczynam poszukiwania.

Poszłyby gładko, gdyby nie to, że zmyliło mnie powtarzanie słów: „cytadela“, „forteca“. „Komendant siedział na cytadeli w Szpandawie“, „Komendant był więziony w fortecy szpandawskiej“... Udaję się zatem na cytadelę, przez *kanal Hohenzollernów* i *Schleusenbrücke*. Gmach wygląda ślicznie. Ogromne kamienne palisady, odbite w wodzie, która otacza wokół mury, piękne stare wysokopienne drzewa — wszystko to czyni z groźnego zakątka jakiś romantyczny punkt.

Dzwonimy. Z przeraźliwym hukiem otwierają się podwoje i wchodzimy do poczekalni: ja, dr Kirken, referent prasowy naszej berlińskiej ambasady, i fotograf. Poczekalnia jest jak chłopska izba. Podłoga drewniana, drewniane wokół ławy i stoły, żelazna umywalenka i o krzywej nodze szafa, do której również krzywo jest przybity gwoździem portrecik Hitlera, wycięty z gazety. Przy mnogo rozgałęzionym aparacie telefonicznym siedzi obo-

Oskar Kempe przy swoim domu w Szpandawie. Za czasów Marszałka Piłsudskiego pełnił w więzieniu funkcję Festungsrendanta.



jętny urzędnik, nie przerywający wcale rozmów z naszym wejściem i w ogóle nie patrzący w naszą stronę. Natomiast przejęty naszą wizytą klucznik wypytuje o co nam chodzi. Bardzo się dziwuje, kręci głową.

— Może być, że tu siedział *der General von Pilsudski*, ale trzeba mieć pozwolenie od majora *Freiherr von Lützow*, jeśli chcemy coś oglądać, czy fotografować.

— *Ach so?! A gdzie jest Freiherr von Lützow?*

— W Berlinie.

— Masz, babo, placek! A czy można by, na przykład zatelefonować stąd?

— Owszem. Można.

Jest jeszcze jeden aparat telefoniczny przy oknie, za którego szybami rozciąga się szereg tajemniczych namiotów, stojących rzędami na podwórzu, i wre bujne życie forteczne. Pan mjr *Freiherr von Lützow* odpowiada nader uprzejmie, że bardzo prosi, że nie ma nic przeciw odfotografowaniu cytadeli i ewentualnie budynku, w którym był więziony Marszałek Piłsudski — jeżeli tu był więziony — ani nic przeciw przepytывaniu ludzi, którzy by go ewentualnie pamiętali, po czym woła klucznika do telefonu. Po rozmowie z *Freiherrem* dozorca staje się mniej przedsiębiorczy. Dość naiwnie oświadcza, że w pomienionym budynku są teraz składy masek gazowych, ale że pójdzie jeszcze przepytac jednego człowieka, który w cytadeli pracuje od lat 25.

Czekamy. Terkoczą bezustannie telefony, milczący telefonista przerzuca ciągle wtyczki z otworu w otwór — mrukliwie, monosyla-

bami lub służbiście odpowiadając niewidocznym swoim rozmówcom. Cała gama odcieni mieści się w jego sposobie odpowiadania, choć twarz ma jak z kamienia. Tymczasem wraca dozorca i oświadcza że... nigdy tu Marszałek Piłsudski nie przebywał.

Obruszamy się.

— Żarty, panie kochany! Zupełnie pewne jest i stwierdzone, że Marszałek był więziony w fortecy w Szpandawie wraz ze swoim szefem sztabu...

— No to może w fortecznym więzieniu na Wilhelmstrasse? — podsuwa nagle milczący dotąd telefonista. Ale my spoglądamy na nich obu nieufnie, pewni, że to wykręt, spowodowany specjalną instrukcją, daną telefonicznie przez Freiherra. Skądże drugie forteczne więzienie w małej Szpandawie?

No, ale nie ma rady. Wychodzimy zgnębieni i jedziemy wprost na Wilhelmstrasse tracąc coraz bardziej nadzieję, bo na nasze pytania o *Festungsgefängnis* każdy przechodzień odpowiada, że jest nim właśnie przez nas opuszczona cytadela.

## VIII. NARESZCIE ŚLAD!!!

**A** JEDNAK NA WILHELMSTRASSE stoi szereg budynków, ozdobiony dwiema basztami i pnącym dzikim winem, o wcale

ładnym frontonie, który nosi nazwę *Festungsgefängnis*. Nadzieja zaczyna świtać! Nauczenni doświadczeniem, nie czekając aż nas znowu odeślą po zezwolenie do berlińskich *Freiher-rów*, stajemy przed gmachem głównym, robimy zdjęcie i dopiero z gotową kliszą w kieszeni wchodzimy. Szalenie uprzejmy klucznik, mocno zaintrygowany naszymi poszukiwaniami, rozpuszcza dobrodusznie język. On co prawda nic nie pamięta, jest za młody, ale wie, że siedział tu *ein polnischer General* (polski generał) i że są nawet dwaj ludzie w Szpandawie, którzy to doskonale sobie przypominają: jeden, Hennig, dozorca więzienny, dotychczas w służbie, a drugi, Oskar Kempe, mieszkający o krok dalej, pod nrem 22, dawny *Festungsrendant*, obecnie emerytowany. Dodaje, że 2.000 więźniów bawi obecnie w gmachu. Myślę sobie: bawi jak bawi, ale ruch jest w Vaterlandzie! (w ojczyźnie!)

Znowu z tym znanym brzęczeniem kluczy prowadzą nas do *Herr Inspektor*. Wysoki, chudy dygnitarz podnosi nagłym ruchem obie ręce do góry i krzyczy, jakbyśmy go kwasem pruskim obleli:

— Państwo z prasy? Nie chcę mieć z prasą nic wspólnego!!! W ogóle dziennikarzom nie odpowiadam!!!!

Uspokajamy łagodnie ludożercę, iż niezbyt godnie reprezentujemy prasę, gdyż nie je-

steśmy w ogóle aktualni, to znaczy pragniemy zasięgnąć języka o okresie już historycznym, bo sprzed 18 lat, z czasów wojny. Nic dzisiejszego nas nie interesuje. To chyba nie może go wyprowadzać z równowagi.

— *Ach so?! Na, das ist was anders...* — Ach tak?! No, to co innego... Ale on w ogóle nie może dawać żadnych informacji, od tego jest *Herr Direktor*.

— A gdzie pan dyrektor? — pytamy, truchlejąc, że on też jest w Berlinie, jak tamten *Freiherr*.

— Zaraz przyjdzie.

Odprowadzają nas z powrotem do poczekalni. Wszystko tu razem tchnie ponurością i brutalnym jakimś posmakiem. Ściany są nagie zupełnie, zimne, przy wszystkich drzwiach zamki, jak wrota do piekieł. Każdy ruch wywołuje tu łoskot. Nieznośnie! Po dobrej półgodzinie, podczas której mój towarzysz z ambasady dr Kirken jęczy z głodu, zabierają nas do gabinetu p. dyrektora. Wręczają nam przy tym kartoniki różowe z numerkiem, jak bilety do kina.

— Po co nam te kartoniki? — interpelujemy klucznika.

— Ano, bo gdybym się zmienił przy bramie, toby was już stąd nie wypuścili.

Na takie powiedzenie, rzucamy się skwapliwie na różowe kartoniki i kureczowo je w rękę

zaciskamy. Nie można nigdy wiedzieć...

*Herr Direktor* ma twarz płaską, lekko, zdaje mi się, ospowata i jakby niedociosaną w jakimś szarym, jak ten cały gmach, kamieniu. Nawet włosy, siwiejące na skroniach, przypominają wałeczki cementu, wypryskującego między dwiema cegłami. A może w ogóle oderwał się od tynku i spadł z sufitu, wprost przed biurko? Teraz wstaje sztywno, wita się jeszcze sztywniej i na każde nasze pytanie odpowiada niezmiennie:

— ...*ausgeschlossen!* wykluczone! Ani fotografować nie można gmachu z zewnątrz, czy z wewnątrz, ani przepytwać ludzi!

— ...*ausgeschlossen!*

Z uczuciem niewysłowionego triumfu tuliśmy do serca gotowe klisze i powtarzamy sobie adres emerytowanego *Festungsrendanta*. Bo o Henningu mowy nie ma! Tymczasem tłumaczę, najpiękniejszym językiem Goethego, na jaki się zdobyć mogę, że nie chodzi o dzień bieżący, tylko o odległe czasy, wymazane już z pamięci dwóch narodów, obecnie w zgodzie żyjących, o materiały czysto naukowe, historyczne...

Kujon kiwa głową tępo i powiada:

— *Ausgeschlossen.*

W ogóle zdaje mi się, że to jedyne słowo, którym włada, ale to jedyne słowo wprawia za każdym razem w trans radości pana inspek-

tora, który stoi pod oknem z miną Gotfryda de Bouillon.<sup>11</sup> Jego świdrujące, ucieszone nad wyraz oczy, zdają się ryczeć po prostu:

— A mówiłem wam, że jeszcze się nie urodził ten gryzipiórek, który by tu coś wskórał...

Istotnie — klapa. Panowie ci wypełniali tylko swój obowiązek, lecz nam było to mocno nie na rękę. Na szczęście, częściowa tylko była klapa, bo 1-o — widok więzienia mamy już w kieszeni, a 2-o — przed nami są nadzieje na p. Oskara Kempe. Żegnamy tedy oziębłe nieprzejednanego kujona i idziemy pędem poszukiwać tamtego. Trzeci dom za więzieniem, nr 22, na wysokim parterze...

## IX. TELEFON NIE W PORĘ

OTWIERA NAM DRZWI WYSTRASZONA siwa pocziwina i drżącym głosem pyta, czego chcemy od jej męża? Na naszą odpowiedź tłumaczy, że poszedł się właśnie przewietrzyć do parku, ale ona go zaraz zawoła, tylko wstąpi do *Frau Doktor* etc... Stajemy przed furtką ogrodową i czekamy. Nauczyliśmy się czekać, tylko dr Kirken zapowiada grobowym głosem, że jeśli nie otrzyma czegoś do zjedzenia, to do kwadransa rozstanie się z życiem lub przynajmniej zemdleje. Katastro-

<sup>11</sup> Godfryd de Bouillon zatknął zwycięski sztandar hufców krzyżowych na murach Jerozolimy.

fie zapobiega zjawienie się p. Oskara Kempe we własnej osobie. Jest uprzejmy, wylewny, uśmiechający się gościnnie przez siwą bródkę, starannie podstrzyżoną. Nasza Rzepicha tak się gościnnie do aniołów niebieskich nie uśmiechała, jak on do nas. Ale nie idziemy na lep tego uśmiechu. Energia, długo tamowana, rozpiera nas. Nie dopuszczając więc p. Oskara Kempego do słowa, stawiamy go pod murkiem i śpiesznie fotografujemy.

*Festungsrendant* jest oszołomiony tym zabiegiem, ale wraca do przytomności i, wprowadziwszy nas do mieszkania, opowiada długo, że przypomina sobie znakomicie, jak przywieziono do Szpandawy *den Herr Marschall von Pilsudski*.

— *Ein vornehmer Herr war er!* Był wyniosły, mało mówiący, niczego nie żądał nigdy, na nic się nie skarżył i tylko co pewien czas przychodził do p. Oskara Kempe do biura po papierosy, które, nie pamięta, kto przysyłał. O gen. Sosnkowskim nic nie wie. Notuję skwapliwie jego rozpoczęte opowiadanie, ale w tej chwili przerywa dzwonek telefonu. Pan Oskar Kempe przechodzi do drugiego pokoju, słyszymy jak rozmawia z kimś półgłosem i wraca — całkowicie odmieniony. Wycofuje się trwożnie i tłumaczy, że on przecież nic ważnego nie mówił, po co ja notuję jego słowa? itd.

Nie ma dwóch zdań, że ponury cerber, dyrektor więzienny, domyślił się, iż pójdziemy wprost z jego niegościnnych objęć do p. Kempego i zamknął mu czym prędzej buzię przez telefon. W każdym razie, zdołał nas jeszcze poinformować p. Kempe że jest Niemcem, ale pochodzi spod Ostrowia Wielkopolskiego, z majątku obecnego ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Berlinie p. Lipskiego, że włada językiem polskim. I istotnie, przemawia do nas uprzejmie naszym językiem, prosząc o przesłanie dziennika, w którym się pojawiają moje wspomnienia ze Szpandawy.

Na tym skończyła się moja misja w tym zakątku — dr Kirken dorwał się nareszcie do restauracji i wracamy do Berlina, skąd muszę nazajutrz wsiąść do pociągu, zdążającego do Wesel, dalekiej twierdzy historycznej na pograniczu Holandii, nad błękitnym Renem...

R E W I A  
KOMENDANTA

## X. REWIA KOMENDANTA

**W**YJEŹDŻAM ŚWITEM DO WESEL.

Droga wiedzie przez Rathenow, Stendal, Portę, Breckwede, Hamm, Hanower, Dortmund i Oberhausen. Oczy Komendanta musiały wyglądać tu przez szyby wagonu, bystro i chmurnie. Musiał wyczuwać, że tu wszędzie, wzdłuż i wszerz, ustawili się lub ustawiają, frontem do Jego mknącego pociągu, Jego żołnierze, rozsypiani tyralierką po więzieniach, po budach izolacyjnych — straż wierna nie tylko nad Wisłą, ale nad Renem, nad Hawelą, nad Elbą, nad Dunajem.

W takim Havelbergu miał wnet zacieśniać więźniom kajdany p. Joppe, Żyd berliński, szczególnie wrogo do Polaków usposobiony. Sznur drewnianych baraków, prymitywnych i pruską modą „z d r y l o w a n y c h“, mieli wypełnić po brzegi oficerowie legionowi i peowiacy. Przebywał tu Tadeusz Caspaeri, Grzmot-Skotnicki, Orlicz-Dreszer z ojcem, Kołłątaj-Śrzednicki, Piotr Górecki i Wojciech Stpiczyński, który nigdy już do zdrowia nie wrócił po półtorarocznych okropnościach więziennego reżimu. Poza nimi — dr Matuszewski, Stanisław Hempel, Roman Pruszkowski.<sup>12</sup>

<sup>12</sup> Wszystkie działacze niepodległościowi, względnie oficerowie Legionów.

Ledwo się zeszli, już oficerów legionowych wysłano do Werl i zatrzaśnięto w bogobojnym hotelu pańniczym, służącym normalnie pielgrzymom, których tu wiodła chęć pokłonenia się obrazowi Matki Boskiej, nad którym pieczę mieli franciszkanie i urszulanki. Do tegoż Werl zostali później spędzeni prawie wszyscy oficerowie — 25-ciu — z Orlicz-Dreszerem, Kołłątaj-Śrzednickim, Dąbkowskim, Wieczorkiewiczem, Trojanowskim na czele. Tylko peowiaków zostawiono w Havelbergu, karmionych grubiaństwami Joppego, odwarem kory brzozonej rano i wieczór, zupą z obierzyn kartoflanych i chlebem, jak zastygła z czasów pompejańskich lawa. Aż ich 7 stycznia 1918 zagarnięto do kraju, do nowego więzienia w Modlinie.

W Holzmünden pastwił się drapieżny półkrwi żydowsko-niemieckiej pułkownik Gallus nad garstką Polaków, przerzucanych jak piłki z jednego końca Niemiec w drugi. Tu także siedział jakiś czas Trojanowski, Chmielewski, sierżant pierwszej kadrowej, a w jakich warunkach płynęło to bytowanie, dowodem holzmündzki proces dwóch Duńczyków-jeńców, sądzonych podówczas za wycięcie wątroby z trupa i zjedzenie jej, z nadmiaru głodu...

W prześlicznym, obrosłym pnącymi różami miasteczku Celle-Schloss pod Hanowerem, w rozkosznym zamku byłych królów, siedzie-

li — o ironio! najnieustępliwszi demokraci: Wincenty Rzymowski i Tadeusz Hołówko. A w Rasztacie, wiecznie pędzeni z miejsca w miejsce — Wieczorkiewicz, Janusz Głuchowski, Zosik-Tessaro, Filipkowski, Kołłątaj-Śrzednicki, Olszamowski, który miał zginąć jako adiutant Marszałka, Skotnicki, Ostrowski, Naramowski i — jeszcze bardziej od nich przewożony — Trojanowski. I w Münster, w jednym z najpogodniejszych miast Westfalii, wśród strzelistych kościołów i ratuszów, mieli przebywać żołnierze Komendanta, cywilni i wojskowi.

Cierpieli nie tylko biedę więzienną, nie tylko tęsknotę za swoimi, nie tylko trwogę o Komendanta, o losy Ojczyzny — żarła ich też wściekłość na zachowanie się rodaków, na „ten lekko drwiący uśmiech, z jakim się spotykali tak często, nawet wśród ludzi dobrej woli“. Jak cudownie to zilustrował płk Kostek-Biernacki opowiadaniem Komendanta o jednej zabawie dzieci „w pociąg“. Bawiło się kilku chłopców 10—12-letnich i jeden malutki, najmniejszy z nich, wątły 5-letni Staś.

Obok w gabinecie pracował ojciec. Dzieci hałasowały, co było naturalne, ale co pewien czas wybuchały żalosnym lamentem. Zastanowiło to ojca. Wszedłszy do dziecinnego pokoju, zapytał:

— Chłopcy, dlaczego wy ciągle płaczecie?!

— A bo my bawimy się w pociąg.

— Jakże to wygląda?

— Ano jeden jest lokomotywą, gwizdże, sapie — za nim, trzymając go za kurteczkę, idzie tender, potem wagony — no i tak dokoła pokoju.

— To śliczna zabawa — odrzekł ojciec — ale po kiego licha potrzebny wam płacz?

— Bo Staś nie daje się nam bawić.

— Co?! ten maleńki Staś?! Cóż on robi takiego?

— Jak przejeżdżamy koło otomany, to on włązi na nią i podnosi rękę.

— No i cóż z tego?

— A my nie możemy jechać!

— Dlaczego?

— A bo on jest semafor!

„...Ileż semaforów takich — dodał Kostek-Biernacki — uważaliśmy, jak owe dzieci, za prawdziwe przeszkody w pracy naszej! Jeden tylko Komendant potrafił ocenić tak prostą pozornie sprawę: GŁUPSTWO, UBRANE W TOGĘ WYROCZNI I POWAGI...”<sup>13</sup>

Bezsprzecznie widział, dostrzegał, przeczuwał i powtarzał to sobie Komendant, gdy dnia 6 sierpnia 1917 r., w rocznicę wymarszu pierwszej kadrowej, jechał wzdłuż frontu tej kal-

<sup>13</sup> Motyka, słońce i semafony. Wacław Kostek-Biernacki.

warii żołnierskiej, jedynej w swoim rodzaju. Była to może jedna z najgórnieszych Jego rewij — uczuciowo równa owej historycznej, z Oleandrów...

I myślę, że tak samo wtedy, kiedy On jechał, była słońcem oblana landszaftowo modra Elba, oleodruk banalny, że tak samo mi gały się wody, sosenki, domki, przesadnym karminem czerwone, wtulone gromadnie w białosc powtarzanego jak przez kalkę kościoła. Tylko teraz rozwiewa mi od czasu do czasu złudzenie lata drzewo liściaste, kościotrupie i martwe. Jednak nie sierpień to, miesiąc Komendantowy! Jednak luty i zima — a tak się wżyłam we wspomnienia z lata 1917 r., że chwilami zdawało mi się, iż jest sierpień, ciepły, żniwny, sięgający błękitem aż do dna Elby.

Od Stendala wciąż nas irytują na horyzoncie przeraźliwe, spiczaste wieże kościelne, wwiercające się jak wrzeciona w firmament. Vorsfelde wygląda jak wąż zwinięty kręgami czerwonych domów dokoła jednego przysadzistego białego budynku i — znowu szereg wież kościelnych, jak igły, godzących nie w serce, ale w oko Boga.

Jakaś rzeka, ujęta w cementowy gorset, i tajemniczy „Schloss“ w oddali, rozległy, patrzący wszystkimi wytrzeszczonymi ślepiami swych okien na pąsowe mosty, rzucone gęsto

nad kanałami. Są tak pąsowe i lekkie, że wyglądają, jakby powiązane z wstążek. W Gifhorn las przypomina Polskę, bo cały zasiany wrzosem. W Lehrte imponują gmachy, jakiejś „*Preusselektra*“ — wieże, turbiny, maszyny: żelazne bociany, klekoczące milionem dziobów na milionie nóg narodzinom jakichś potworów.

Zbliżamy się do Hanoweru. Tu najgęściej zszeregowani byli żołnierze Komendanta, tu najcięższe przeszli cięgi niewoli — choć i we własnym kraju, od którego coraz szybciej umyka pociąg, trwali inni ofiarni żołnierze za kratami Beniaminowa i Szczypiórna, w Siedlcach, Bytowie i Czersku, w Łomży, w Huszt, w Wiedniu i na cytadeli warszawskiej. Wszyscy odcięci od świata, a zwłaszcza od wieści o Wodzu. Wszędzie nie dawano im pism, albo przesiewane przez cenzurę i nie wymawiające imienia Piłsudskiego. W Hanowerze dudnią i grzmią warsztaty, kolubryny rozmachane i silniki. 120.000 robotników pracuje, choć nie wszystkie kominy dymią. Tu jest też, jak już wspomniałam, ulica królowy Jadwigi, ślad naszej Jagiellonki — tu mieszkał filozof Leibnitz, przyjaźnił się szczycący Zofii, małżonki kurfirsta Ernesta.

Ręka niewidzialna brutalnie odpycha coraz bardziej w tył wieże kościelne, wysuwając naprzód kominy. Gnamy przez Portę, ładną

i jasną, niezadymioną, przytłoczoną jednak z góry, jak sosjerka, nakrywą *Kaiser Wilhelm Denkmal* (pomnikiem ces. Wilhelma). Ginie pod chmurami ten ciężki pomnik, ciosany pięściami, rudy, tysiącpudowy. Chyba nie śpi się spokojnie pod takim rudym, tysiącpudowym aniołem stróżem! Przelatujemy przez Bad Oeynhausen, rozrzucony, jak kolorowe maki po łąkach i górach, jak confetti, potem fabryki ceramiczne i — już Westfalia.

Wsie i miasta ciągną się teraz nieprzerwanie, łączą się ze sobą, bliżej lub dalej toru kolejowego. Cała natura zdaje się krzyczeć chwilami, że ADLER i S-KA wyrabia najlepsze na świecie maszyny do szycia — że nie warto zważać na przepyszne ruiny na horyzoncie, pierwsze, które tu spotykamy — na świeżość krajobrazu, zieloność lasów, bo ADLER i S-KA wyrabia najlepsze maszyny do szycia. Zresztą takich ogłoszeń krzykliwych pełno tu wzdłuż, nawet na poletkach chłopskich sterczy tu i ówdzie parumetrowa tubka z „niezawodną pastą“, piesek z blachy niosący w pysku reklamę takiej czy owakiej firmy; tablice czerwone, zielone, żółte. I — nagle cichnie człowiek hałaśliwy, kupiec nachalny i wypływa łączka prześliczna, jak anatolijski dywan jedwabny i pod lasem brzóz spacerują romantyczne zające i bażanty, jak z obrazka, jak ze stołu ze święconym, bez trwogi, jakby tu nigdy

żadnych ludzi, żadnych kominów, żadnych fabryk od początku świata nie było.

Dojeżdżamy do Hamm. Ani śladu romantycznych zajęcy i bażantów — zjadły je wytwórnice mięsnych konserw — kominy się zgęszczają, fabryka wystrzela obok fabryki. Same fabryki. Nie ma miejsca dla żywych ani dla umarłych, bo nawet cmentarze szukają gościny pod samym torem kolejowym, bezdrzewne, bezkwietne. Nad Dortmund-Flughaven krążą samoloty, jak pszczoły nad ulami a pod ich skrzydłami, prawie nad naszymi głowami, nad mostami i arkadami, wiją się w boleściach rury żelazne średnicy wołu i giną w czeluściach zbiorników i baszt, jak w rozwartych, czyhających, nieutulonych w głodzie paszczach. Krajobraz aż poczerniał od dymów. Jest jakaś nuta rozwścieczenia w powietrzu. Domy nie są już czerwone, tylko ciemnoceglaste, piegowate, posępne. Czasem, jak koło Rauxel, wychyli się jeszcze z uporem czarujący las liściasty, ale natychmiast uprzątają go kominy. To opętanie, te kominy. Fabryki ryczą, jak zarzynane potwory, powiązane na rzeź pasami transmisyjnymi. Niespodzianie migają mi przed oczami polskie flagi nad ogromnym boiskiem. Czyżby się rozgrywały tutaj losy jakiejś naszej drużyny sportowej? A tymczasem rozgałęziają się tory i atakują nas kominy coraz natarczywiej. Czy też nie

oszołomią, nie oglupią, nie nastraszą, nie zmylą mojej lokomotywy? Czy nie stanie ona dęba z przerażenia i nie zawróci wielkim pędem ku Berlinowi?

Daleko, na czarnych tłach ściany białe ramy okienne wyglądają wszędzie jak krzyże — niby rząd krematoriów!<sup>14</sup> I tak po domach ludzi żywych są krzyże, a na cmentarzach — ani jednego: słupki i także jakby miniaturowe kominy fabryczne, znaczone nagrobnym imieniem i sentencją. Jak mogą spać ci zmarli, tuż pod przelatującymi ze straszliwym hukiem pociągami, dymem smoleni, słońcem prażeni, bo ani jeden krzaczek ich nie osłania? Chyba, że leżą tu same komiwojażery, wciągające z lubością zapach i huk, który im przypomina ubiegły zawód? Zimno się robi na myśl, że mogliby nas pochować w tej ziemi, rozkołysanej wstrząsami fabryk i przelatujących pociągów, że przez wieczność całą podawanoby nas tak na tacy: słońcu, dymom i turystom, przez okna wagonów się gapiącym...

Szalone wały sztuczne zabiegają drogę pociągowi, pompy, windy, baszty wypełzają ze wsząd. Wieże kościelne przestały w ogóle egzystować. Na dworcu w Oberhausen wysiadam, aby się przesiąść do Wesel. Budują tu nowy gmach stacyjny, ostatni krzyk nowoczesności.

<sup>14</sup> Krematoria to gmachy, gdzie spalają ciała umarłych, zamiast je grzebać.

Mieszanina brzydoty nieprawdopodobnej ze sprzętami i pomysłami bardzo ładnymi. Zasiadam w sali jadalnej „dla niepalących” — powściągliwe tło, meble przyzwoite, za ogromnymi szybami, na tle ciemnych, zasuniętych za nimi kotar, ceramika. W rysunku banalna, ma jednak ładną polewę i jest znośna, ale zaraz w głębi kryguje się nieprawdopodobna „studzienka” z ohydnych kafli białych i z kapiącą w niej, Bóg raczy wiedzieć na co, wodą. Na gzymsie tego cudactwa stoi szereg wazoników z kwiatami i goła panienka z brązu, biust wypinająca.

Trzeba jednak żegnać studzienkę z białych kafli. Nadchodzi pociąg. Las katedr fabrycznych już uciekł — wypływa dywan łąk, wdzięcznie rzucony pod nogi.

Zbliżamy się do Renu.

W E S E L

6. 8. 1917 r. – 23. 8. 1917 r.

XI. PUNKT ZBORY  
SŁAW I WIELKOŚCI

ZBLIŻAMY SIĘ DO WESEL, POGOD-  
nego miasta, zagubionego w swoich pa-  
miątkach, w swoich dniach chwały, heroizmu  
i znaczenia. Każdy tragarz, każdy dorożkarz,  
każdy *Ober* w restauracji, opowiada ci o wiel-  
kościach tego miasta. O tym, że mieszkał tu  
na cytadeli Napoleon i Katarzyna II, że wię-  
ziony tu był przez własnego ojca Wielki Fritz  
(późniejszy Fryderyk Wielki), z przyjacielem  
swoim Katte, świętym później w Kistrzyniu.

Nie mam jednak czasu słuchać chlubnych  
dziejów miasta, muszę śpieszyć do cytadeli,  
do ośrodka sławy lokalnej, której fundamenty  
już zostały zburzone przed kilkunastu laty.  
Została tylko brama wejściowa, ozdobna, ma-  
jąca z wewnątrz, od prawej strony, dwie kaza-  
maty, w której ostatnie swoje godziny spędziło  
jedenastu sławnych oficerów *Schilla*. Rozstrze-  
lali ich w Wesel Francuzi, 16 września 1809 r.

Ferdynand von Schill, ich dowódca, ur.  
1776, był awanturnikiem mężnym i zuchwa-  
łym. Wmieszawszy na własną rękę swój pułk  
huzarów pruskich w wojnę austriacko-fran-  
cuską, naraził się na represje ze strony swoich,  
no i na nałożenie ceny na swoją głowę przez  
Francuzów. Bardzo szybko został przez nich  
schwyty i w Stralsund święty, jedenastu zaś



Wesel. Plan miasta z uwidocznioną na boku, po lewej stronie cytadela, gdzie przebywał Marszałek Piłsudski od 6. 8. 1917 r. do 8—9 września tegoż roku.

jego najdzielniejszych oficerów rozstrzelali w Wesel, gdzie stoi pomnik pośrodku miasta, nad ich krwawymi szczątkami.

Leopold Jahn, Ferdinand Schmidt, Friedrich Galle, dwaj bracia von Wedell, Adolf von Keller, Konstanty von Gabain, Hans von Fleming, Friedrich Felgentreu, Karl von Keffenbrinck i Karl von Trachenberg... Aż się zachłystuje uniesieniem tłusty dozorca kazamat *schillschenowskich* oficerów, gdy o nich opowiada. Opowieść bohatera, oczywiście! Ale przerywam ją, pytając, gdzie mieszkali w czasie ostatniej wojny, nie napoleońskiej, panowie oficerowie?

Grubas jest zaskoczony i wyraźnie zgorzsony moim odbieganiem od przedmiotu i absolutną, prostacką zgołą, obojętnością na górne i chmurne dzieje historyczne, które mi

podaje z szybkością karabina maszynowego. A bądź co bądź, zależy zawsze od stopnia entuzjazmu turystów wysokość jego napiwku... Zbývá mnie więc tylko mruknięciem i prowadzi do witryny, za którą błyszczą się żółtą patyną medaliony z kości słoniowej. Jedenaście ślicznych medalionów, wyobrażających bohaterskich oficerów — dalej fragmenty listów i pęczki ich włosów. Nawet kubek szklany pokazuje, z którego pili, a w końcu rzuca mimochodem:

— A ci oficerowie, o których pani pyta, mieszkali tam...

Właśnie na wprost kazamat schillschenowskich. Budynek jest długi, piętrowy, żółty i ma napis na drzwiach: *CASERNE Nr. 6. GEBAUT IM JAHRE 1819*. Na tym miejscu, na I piętrze, gdzie teraz są mieszkania prywatne (niestety dziś, przy niedzieli, opustoszałe), siedział Komendant, a przed wielu, wielu laty, w nieistniejącym już budynku, młody, krnąbrny Wielki Fritz.

Zawracamy do bramy.

— *Hier kamen sie hinein...* Tędy weszli... recytuje dozorca, sądząc, że jednak wzruszy moje zatwardiałe serce.

— *Wer?! Kto?* — pytam istotnie wzruszona.

— *Die elf Schillschenoffiziere...* Jedenastu schillschenowskich oficerów...



Wesel – Die 11 Schill'schen Offiziere



Wesel. Z ostatnich  
chwil jedenastu ofi-  
cerów Schilla, roz-  
strzelanych przez  
Francuzów na cy-  
tadeli w Wesel  
16. 9. 1809 r.

— Ach so! Czy wszyscy więźniowie zawsze  
tędy wchodzili? Nie było innej bramy?

— Nie, tylko ta.

Więc także Komendant tędy wchodził! Na-  
chylał się i, nie zważając na grubasa, zrywam  
pęk trawy, obszywającej równo fundamenty  
cokółu. I widocznie, nareszcie, dogodziłam gru-  
basowi! Spojrzał na mnie ciepłej, rozumiejąc,  
że przecież wzruszyły mnie w końcu, dzięki je-  
go wymowie, losy jedenastu pruskich bohate-  
rów, a posmarowany ponadto jedną skromną  
Reichsmarką, pokazuje mi jeszcze stół, na  
którym jedli, a który (dodaje ze zgrozą) po-  
rąbali w drzazgi bolszewicy.

— Skąd bolszewicy? — dziwię się. — Prze-  
cież tu nigdy bolszewicy nie doszli?

— *Die deutschen Bolschewiken, die Lum-  
pen, im Jahre 1918!!!* Niemieccy komuniści,

łajdacy z roku 1918!!! Oni to, porąbali stół, zdrapali pamiętne napisy ze ścian kazamaty i podarli listy, pisane przez skazańców do rodzin... Bóg z nimi, zacny grubasie! Ale, o ile bym wolała, gdybyś mi pokazał stół, przy którym jadł waszą więzienną zupę z obierzyn kartoflanych Komendant i przy którym listy pisał do swoich — diabła mi tam twoje, skądinąd dzielne oficery, przed którym bohaterstwem schylam nisko czoło!!

Ale on wtyka mi jeszcze kilka widokówek, opiewających dzieje schillschenowskich młodych awanturników, i wiersz, zaczynający się od słów:

*Generalmarsch wird geschlagen  
zu Wesel in der Stadt,  
und alle fragen ängstlich,  
was das zu deuten hat...*

*Da führen sie zum Tore  
hinaus still, ohne Laut,  
die kleine Schar, die heiter  
dem Tod ins Auge schaut.*

Elegia kończy się zwrotką:

*So starben tapfere Preussen,  
durch Schande nie befleckt,  
die nun zum ew'gen Ruhme  
ein Stein zu Wesel deckt...*



Wesel. Brama wchodowa na cytadelę, w której przebywał Marszałek Piłsudski. Dziś ona jedna ocalała po zburzonej cytadeli. Tędy wszedł Marszałek.

Nie wie do dziś głupie, miłe miasteczko nad Renem, Kogo gościło, poza carycą Katarzyną, poza Fryderykiem, poza Napoleonem. Kiedyś powiedzą im to i do swojej lawendowej legendy wplotą nazwisko Marszałka Piłsudskiego i będą je podawali wścibskim turystom, trochę z pychy regionalnej, a trochę dla napiwku, wraz z widokówkami o jedenastu oficerach Schilla, ze śliczną *Sanct Willibrodi* katedrą, okoloną wykopaliskami odwiecznych cmentarzy, z pałacem udzielnych książąt Klewańskich, z 600-letnim ratuszem i — z Renem, który u stóp cytadeli łączy swe uroczne, łagodne fale z Lippą, prawobocznym dopływem. Właśnie pod zakratowanymi, niegdyś Komendantowymi, oknami, ten związek szaro-

niebieskich wód się spełnia, klinem miękkim i drgającym od blasku słońca, motorów i wioseł.

## XII. PAPIEROS KOMENDANTA

**W** NIEDZIELNY WIECZÓR 24 LUTEGO 1935 r. kiedy stałam na terenie zburzonej weselskiej fortecy, szukając między ruinami śladu niecierpliwych kroków Komendanta, przypomniała mi się nagle jedna scena. Było to w Belwederze. Pierwszy raz miałam ujrzeć z bliska Marszałka i być Mu przedstawiona. Po historycznych wąskich schodkach weszłam na górę z Panią Marszałkową do sypialnego pokoju, Marszałek bowiem był chory. Siedział w szlafroku za biurkiem. Między Nim a mną stało biurko, które wydawało mi się co najmniej Giewontem. Wrażenie owego spotkania było tak silne, że prawie sobie nie przypominam rozmowy, pamiętam tylko, że unosił się nad Komendantem niebieski dym papierosów, subtelny jak smuga, jak cieniutki welon przeźroczysty.

I oto teraz, w Wesel, kiedy patrzyłam w dół, na błyszczący sierp Renu, na przedziwnie subtelny, melancholijny ton jego wód, dojrzałam tuż nad rzeczonym portem leciutki niebieski dym. Taki sam, jak w Belwederze...

Widok na Ren  
z okien cytadeli  
w Wesel.



I nikt nigdy mi już nie wytłumaczy, że to  
nie był dym z Komendantowego papierosa...

# GAUJÄGERMEISTER FÜR GROSS-BERLIN

### XIII. GAUJÄGERMEISTER FÜR GROSS-BERLIN

Z pewną przykrością opuszczam miłe Wesel. Trzeba wracać do Berlina, aby znów podążyć ostatnim etapem do Magdeburga. Jako przedwstępne działanie należy odszukać van Gülpena, jednego z głównych aktorów w uwolnieniu Marszałka. I właśnie ledwo zajęłam do hotelu, otrzymuję telefon z ambasady polskiej, że mjr van Gülpen został przez dra Kirkena odnaleziony i że za kwadrans będą u mnie obaj.

Wchodzi krokiem energicznym, ba! nawet nawalniczym, człowiek, wyglądający na maximum 40 lat, wysoki, silny, kipiący zamaszystością wojskową. Przedstawia się: *van Gülpen* i po krótkiej, dość zdawkowej, rozmowie prosi, abym pojechała do niego, gdzie pokaże mi wiele rzeczy dotyczących Marszałka Piłsudskiego. Przed hotelem czeka jego auto, z którego dna sterczy żałośnie osiem sarnich nówek. Wyładowujemy te trofea przed jakimś kolonialnym sklepem i mkniemy dalej, przede wszystkim na *Reichstrasse* 9. Zatrzymujemy się przed dużą kamienicą o owalnych trzech oknach u góry. Tu, gdzie te okna, mieszkał w roku 1918 van Gülpen i tu przywiózł wprost z Magdeburga, wieczorem dnia 9 listopada tegoż roku, Komendanta i gen. Sosnkowskiego.

Zdziwiłam się niemało, ujrzawszy tę kamienicę, otoczoną szeregiem innych podobnych kamienic, bowiem ciągle tkwiły mi w pamięci słowa gen. Sosnkowskiego:

„...Van Gülpem, korzystając z pomyślnej okoliczności, iż jego willa leżała po drodze, w ogrodowej, podmiejskiej dzielnicy, zdecydował, że musimy się tu zatrzymać...”

Gdzież ta „willa“, na miły Bóg, i ta podmiejska dzielnica ogrodowa?! Lecz właśnie van Gülpem tłumaczy, że przed 17 laty to miasto było przedmieściem, istotnie tonącym w drzewach, łączącym się po prostu z lasem. Wokół nie było innych domów. Teraz las jest wycięty, kamienic cały rząd i w ogóle nowopowstała dzielnica ma typ wielkomiejski. Fotografujemy dom, a właściwie owe trzy górne okna owalne, i jedziemy dalej na *Anhaltstrasse* 7. I znowu przypominają mi się słowa gen. Sosnkowskiego o „pełnym prawdziwego smaku urządzeniu domu u van Gülpemów, wskazującym na wysoki poziom towarzyskiej ich kultury“. Generał musiał być niezwykle oszołomiony odzyskaną wolnością i wdział nader różowe okulary, albo zmienił umeblowanie van Gülpem, bo zastaję tu tylko miłe *bürgerliche* home i nic więcej. Trofea myśliwskie, oglądane ongiś z zajęciem przez Komendanta, wiszą gęsto na ścianach i stoi jeszcze, pod Jęgo portretem,



Major P. van Gülpen, obecnie Gaujägermeister für Gross-Berlin. Oficer pruski, który eskortował Marszałka Piłsudskiego z Magdeburga do Warszawy.

fotel skórzany, w którym siedział w ów pierwszy wieczór wolności.

Van Gülpen przedstawia nas swojej żonie, wesołej, gościnnej, żwawej pani i tu następuje

scena, która od razu charakteryzuje nam gospodarza domu.

Pani spogląda na nas nieufnie, potem na niego i pyta:

— Pewnie chcesz mnie znowu nabrać!! Czy pani jest naprawdę hrabina *Wielopolska*? A pan naprawdę z polskiej ambasady!? Bo, proszę państwa, jego się zawsze żarty trzymają i ja nigdy nie wiem, czy on serio mówi, czy mnie naciąga...

I istotnie van Gülpen, wyglądający na człowieka zuchwałego, odważnego, nie cofającego się przed żadnym najniebezpieczniejszym zadaniem, przedstawia zarazem typ wesołego facecjonisty. Ten rys charakteru, jak też owych 8 nóżek sarnich w samochodzie zostają mi wnet objaśnione informacją pana domu, iż nie jest już w czynnej służbie wojskowej, tylko pełni urząd *Gaujägermeistera für Gross-Berlin*. W tym też rysie facecjonizmu, znanym u myśliwych, znaleźć można źródło tego, w czym — z okazji demonstrowania przezeń kanadyjskiego noża i wyliczania zarzniętych rzekomo Moskali — gen. Sosnkowski dopatrzył się rąbka sadyzmu.<sup>15</sup>

Van Gülpen bez wątpienia rzuci się na całą watahę Moskali, nawet bez noża, z gołymi rękami, ale absolutnie nie wierzę w jego sadyzm. Jest to człowiek raczej dobroduszny, mimo

<sup>15</sup> Okrucieństwa.



Dom przy Reichstrasse 9 w Berlinie. U góry, gdzie 3 okna owalne, znajdowało się mieszkanie van Gölpena i tu przywieziono z Magdeburga Marszałka 9. 11 1918 r.

wściekłego temperamentu i nieposkromionej żyłki awanturniczej. Opowiada ciekawie, wesoło, dowcipnie o Komendancie z nutą szczerą, żołnierskiej sympatii dla tego kogoś, któ-

rego marsowa postać i zimna odwaga w niebezpieczeństwie mocno mu zaimponowały i wrażyły się w pamięć. Bo co do innych walorów Marszałka Piłsudskiego, to znacznie lepiej, wnikliwiej i bystrzej zorientował się hr. Kessler, drugi konwojent w Jego podróży Magdeburg—Warszawa.

— Chciałbym pani mnóstwo rzeczy opowiedzieć — zaczyna van Gülpen — ale ma zaraz przyjść jedna osoba i nie będzie na opowiadanie dość czasu...

Namyśla się jednak i dodaje:

— A niech tam zresztą czeka ta osoba!! Zaczynam! 8 listopada 1918 r. siedziałem w swoim biurze w Magdeburgu, gdzie pełniłem funkcję dowódcy kolumny samochodowej, kiedy wezwano mnie do telefonu. Z prawa i z lewa donoszono mi alarmująco, że rewolucja się szerzy w Niemczech, że zbuntowani żołnierze, pomieszani bratersko z cywilną ludnością, demonstrują na ulicach. Wydaję rozkaz, aby pojedyncze samochody pancerne nie opuszczały miejsc swego postoju, natomiast te, które są w pełnym składzie kolumn, w Hanagerze, Halle, Lipsku i Dreźnie, niech ruszają z Bogiem dokąd trzeba.

Zameldowałem to wszystkiemu adiutantowi komendy generalnej i poprosiłem o paru tęgich oficerów z karabinami maszynowymi, celem załatwienia rewolucji przynajmniej w Ma-

gdeburgu. W ciągu dwóch godzin można było ją zdusić. Komenderujący generał odpowiada, niestety, że musi mieć na to instrukcje z Berlina, więc żebym niczego indywidualnie nie rozpoczynał, tym bardziej, że właśnie jest w drodze specjalna dla mnie misja. W parę chwil później przychodzi ta misja.

Melduje się u mnie rotmistrz hr. Kessler. Zapytuje, czy podejmę się odwieźć polskiego brygadiera Piłsudskiego, więzionego dotychczas w magdeburskiej cytadeli, do Polski. Zdziwiony, odpowiadam krótko, iż jestem oficerem i każdy rozkaz wypełniam, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie *ausgerechnet* powierzono tę rolę? Hr. Kessler legitymuje się zleceniem Ministerstwa Spraw Zagranicznych: w Polsce zbliża się rewolucja, jak w Niemczech, wszędzie komunizm głowę podnosi. Po całym tym okupowanym kraju są rozsiane placówki niemieckie, niemieccy urzędnicy, wysocy wojskowi, urzędniczeki, którym, jeśli Polacy zechcą skorzystać „z okazji”, może być gorąco. Jeden Piłsudski jest w stanie ująć rozszalałe flukta w swoje ręce, mając niesłychany wpływ u swoich i niesłuchanie silną wolę. Pociągi są wprowadznie wstrzymane, wszystko strajkuje, ale może by się udało jednak Brygadiera przewieźć? Dodaje przy tym hr. Kessler, że generał go objaśnił, iż ja się na tę misję najlepiej nadaję, że nie ma mo-

wy o rozkazie, chodzi tylko o przyjacielskie zapytanie, czy tej misji się podejmę.

— Zaznaczam — konkluduje Kessler — że jest ryzykowna i że przebijać się trzeba, prawdopodobnie, przez morze rewolty...

Podjąłem się. Dałem odpowiednie informacje miejscowej komendzie w sprawie otworzenia mi cytadeli i poprosilem hr. Kesslera, aby na mnie czekał na szosie ku Burg. Przygotowałem też z mnóstwem zapasowych kół mój silny *Audi*-samochód, przywdziałem bluzę szoferską, pod płaszczem i na dnie wozu umieściłem broń: rewolwery, karabiny i nóż kanadyjski, i wyruszyłem. Ulice pełne były wzburzonych tłumów. Stenotypistka, przeprowadzająca samochód przez Strombrücke ku cytadeli, przyczepiła doń kilka czerwonych szmat i krzyczała, jakby ją ze skóry obdzierali:

— Rozstąpcie się!! Jedziemy do cytadeli więźniów politycznych uwalniać!!!!

Tak przejechałem groźne punkty, eskortowany przez demonstrantów. Brama się otworzyła. Wszedłem do celi, gdzie ujrzałem człowieka o tak zdumiewająco podobnych rysach twarzy do Nietzschego,<sup>10</sup> że po prostu nie można sobie większego między rodzeństwem wyobrazić. Wąsy miał sumiaste, wyraz energiczny, twardy, chmurny i uderzająco przenikliwe oczy. Oświadczyłem Mu, że mam rozkaz prze-

<sup>10</sup> Nietzsche, filozof niemiecki, pochodzenia polskiego.



Bramy cytadeli  
magdeburgskiej  
(zburzone w r. 1919)

wiezienia Go do Warszawy. Niech mi wybaczy mój mało oficerski wygląd, ale inaczej nie przejedziemy. Dla nich dwóch mam też w aucie płaszcze cywilne i kapelusze.

Spojrzał na mnie bystro ten polski brygadier o twarzy niemieckiego filozofa i zapytał, co się stanie z jego rzeczami, jeśli wszystkiego nie będzie czasu zabrać?

— Będą odesłane.

— Mogę polegać na pańskiej obietnicy?

— Tak, brygadierze.

Bez dalszych wahań siedli obaj panowie do samochodu i ruszyliśmy szybkim tempem szosą do Berlina, gdzie spotkaliśmy hr. Kesslera.

— Hrabiego Kesslera?! — pytam zdziwiona. — Przecież i on sam i Marszałek Piłsudski i gen. Sosnkowski podają, że hr. Kessler towarzyszył panom w podróży od Magdeburga przez Berlin aż do Warszawy?!

— O nie! — żywo zaprzecza van Gülpen. — On był na to za mało odważny...

Nie staram się przekonywać, słucham dalej.

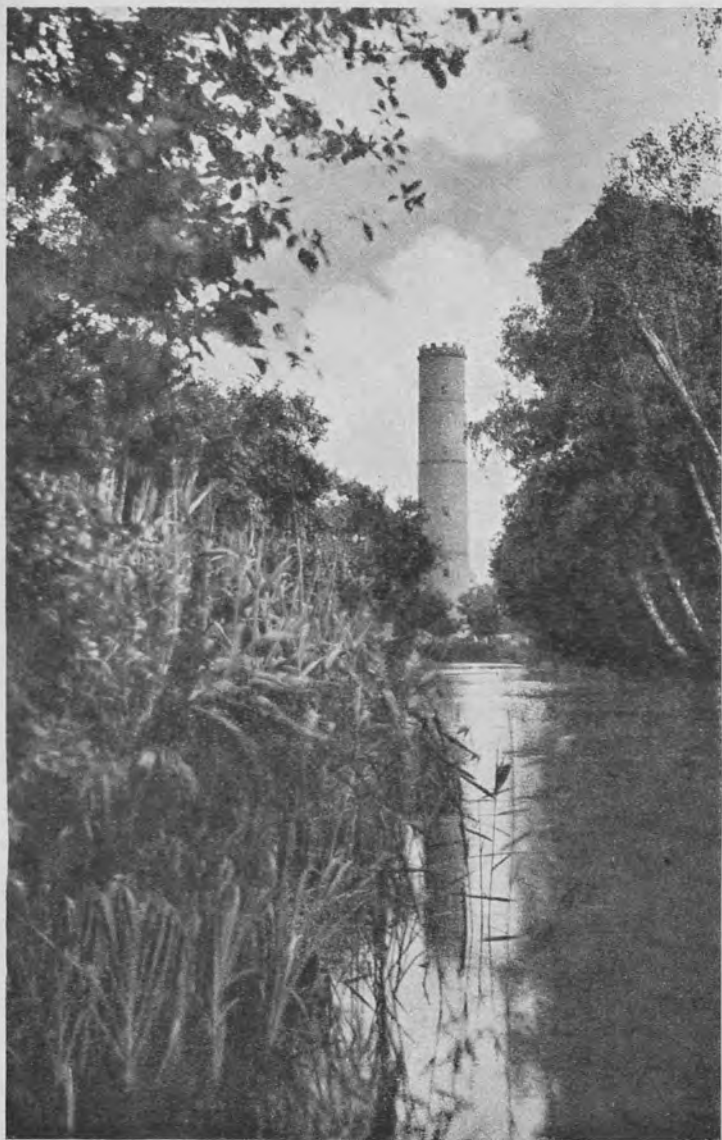
— Przed miejscowością *Burg* spotkałem znajomego listonosza i ten mnie przestrzegł, abym się nie przebijał przez rynek, gdyż zrewoltowane tłumy nas nie przepuszczą.

— A czy nie można ominąć rynku? — spytałem listonosza.

— Nie! chybaby się cofnąć i, daleko okrążając *Burg*, jechać inną drogą.

Piłsudski nie rozumiał, co szeptem ze sobą mówimy, ale kiedy mnie zapytał, o co chodzi, przedstawiłem stan rzeczy i zapytałem, czy zgadza się, abym ryzykował przejazd przez rynek, bo inaczej wiele czasu stracimy. Zgodził się z miejsca i bez zastanawiania, więc całą parą wpadamy na ów rynek. Po drodze starają się nas wrzeszczący ludzie zatrzymać, ale na samym rynku zbuntowanych obywateli ani na lekarstwo — jeden tylko niewinny biały foksterierek, nie mający nic z rewolucją wspólnego, ugania tam i z powrotem.

Zbliżaliśmy się do Genthin. Miasteczko wyglądało spokojnie, wjechaliśmy zatem na podwórze pewnej znajomej mi mleczarni parowej i zasiedli we trójkę do stołu. Uraczono nas świeżym chlebem, masłem i mlekiem. Piłsudski jadł z apetytem i powtarzał:



— Zupełnie jak z nieprawdopodobnego zdarzenia, zupełnie jak w bajce...

Tymczasem połączyłem się telefonicznie z garnizonami w Brandenburgu i Poczdamie. W pierwszej z tych miejscowości cisza i spokój, brzmi informacja, ale Poczdam omijać, ile się tylko da! Skręcam więc przez Ketzin, na Heerstrasse do Berlina.

Psuł się ciągle samochód, zaopatrzony w koła z nowej namiastki kartoflanej, która, rozgrzewając się, topniała po każdych 40 kilometrach.

— Ciężka służba, szoferka!... — zauważył Piłsudski w pewnej chwili, gdy — po raz nie wiem który — zdejmowałem opony, klnąc. Ale każda rzecz, zła i dobra, ma swój koniec. Zajechaliliśmy do mego mieszkania na *Reichstrasse* 9, mieszkałem na III piętrze. Stamtąd natychmiast zadzwoniłem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o dalsze instrukcje. i, otrzymawszy je, poprosiłem moich gości do stołu, wziąłem ich podpis do albumu i traktowałem koniakiem, który miał być „znakomity“.

Po wyjściu mych dostojnych gości odruchowo golnąłem sobie jeszcze jeden kieliszek tego „znakomitego“ koniaku i wtedy dopiero zauważyłem, co to za świństwo; a myśmy tego wcale w trakcie rozmowy nie zauważyli. Przy najmniej ja. Następnego dnia porozumiałem

Podpisy Marszałka Piłsudskiego, generała Sosnkowskiego i hr. Kesslera, w albumie van Gülpena, położone w historycznym dniu uwolnienia z Magdeburga 8. 11. 1918 (z dopiskami van Gülpena).

*Ł. Piłsudski*  
*Brig. doc. płk. Legia* 8/XI 1918

*Kazimierz v. Sosnkowski*

*Hr. Kessler* 8/XI 1918  
*Gen. H. Kessler* 8/XI 1918

się z jednym Zugführerem, który obiecał dostawić nas do Warszawy cało, w jednym wagonie, doczepionym do lokomotywy.

W prawej kieszeni umieściłem dokumenty, w lewej rewolwery i mój pamiątkowy nóż kanadyjski o 20 centymetrowej klindze i tak ruszyliśmy ku Warszawie. Co do tego noża, wciąż mnie naciągał Piłsudski i żartował... Nasza lokomotywa zatrzymywała się często, aby nabrać wody lub na rozkaz naczelników stacyj. Wtedy zawsze wypadało zastanowić się, czy będą potrzebne dokumenty z prawej kieszeni, czy też... z lewej? Piłsudski uprzednio po drodze rozmawiał. Mówił, iż nie wątpi, że kiedyś dojdzie do przyjaznych z Niemcami stosunków, mnie żartobliwie proponował, abym został u niego generałem kawalerii.

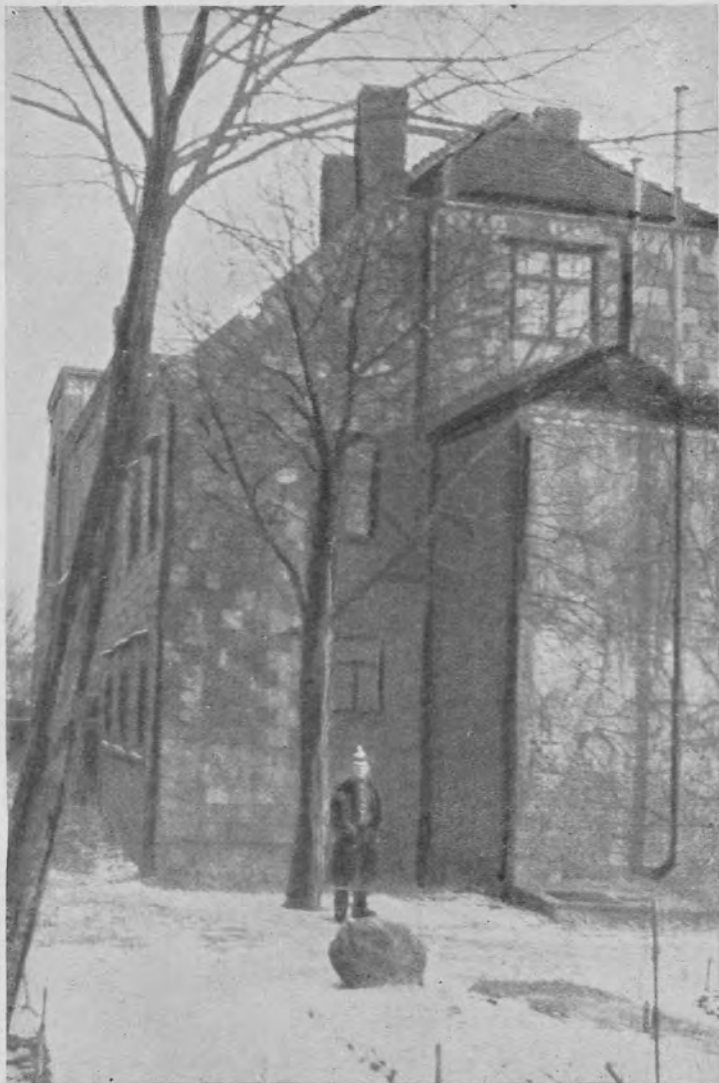
— Masz pan na to dostateczny zasób fantazji!

W Warszawie przyjęto nas z nie dającym

się opisać entuzjazmem. Piłsudski przydzielił mi konwojenta-opiekuna dra Leona Loria, abym był bezpieczny, a kiedy nie mogłem dostać pomieszczenia w komendzie niemieckiej, przyjęła mnie bezpłatnie jakaś rodzina polska — wszystko z wdzięczności za przywiezienie Piłsudskiego! Nawet dorożkarze i fryzjerzy grosza ode mnie brać nie chcieli, kiedy się przypadkiem dowiadywali, że ja jestem tym, który eskortował Marszałka z Magdeburga do Warszawy. Poznałem wtedy, jaka jest szalona popularność tego człowieka w masach i również poznałem jego bezprzykładne panowanie nad tłumem, bo gdy wkrótce po przyjeździe przemawiał z balkonu, a tłum nie przestawał wiwatować, wystarczyło jedno jego władcze skinienie, aby tłum zamarł w milczeniu i bezruchu.

— A jaki był powrót pana majora? — pytam ciekawie.

Z powrotem, okazało się, miał trochę emocjonujących przygód. Wyrzucił z pędzącego pociągu jakiegoś zbyt poufalego i natarczywego feldfebla, w Berlinie obszukano go i odebrano broń — przepadł sławetny nóż kanadyjski! Choć jeszcze znacznie później, gdy van Gülpen przebywał w Warszawie, w poselstwie niemieckim, i stawiał się przed Marszałkiem w Belwederze, ten zapytał go z miejsca:



Budynek w forcie magdeburgskim, w którym (I p. front) więziony był Marszałek Piłsudski. Dziś budynek ten jest rozebrany i darowany Polsce przez radę miasta Magdeburg, przewieziony do Warszawy i ustawiony obok Belwederu.

— A co z pańskim nożem kanadyjskim —  
ha?

— Żegnając mnie, kończy van Gülpen, powiedział mi Marszałek, że nie wątpi, iż się jeszcze zobaczymy. Wielkie, niezatarte wrażenie uczynił na mnie ten człowiek swoją energią, bystrą orientacją i odwagą. Zresztą działał też pewnie i w swojej ojczyźnie tak samo, osobistym przede wszystkim czarem...

#### XIV. T Y L K O G R U Z Y !

**S**KOŃCZYWSZY SWĄ OPOWIEŚĆ, stwierdza van Gülpen, że nie ma już cytadeli w Magdeburgu, ale, że mi da, wraz z odpisem swoich wspomnień, fotografie, które mi zastąpią rzetelnie wszelkie braki ilustracyjne. Trzeba bowiem trafu, że van Gülpen, ongiś buńczuczny i awanturniczy oficerek magdeburskiego garnizonu, miał ciągle do czynienia ze swoją władzą, a to o pojedynki, a to o burdy z cywilami (nawiasem mówiąc, myślę, że i teraz sposobności nie omija...), dzięki czemu niezwykle często siedział w tak zwanej pauce. W budynku zaś, w którym więziono Marszałka od 1917 r., znajdowała się instytucja, zwana, jak Marszałek się wyraził „zabawnie“, *SOMMEROFFIZIERARRESTSTUBE*, słowem cele, gdzie zamykano takich pojedynkowiczów oficerków, na warunkach zresztą dość łagodnych i „honorowych“.



Van Gülpen w r. 1914. W celi na cytadeli magdeburskiej, która w 1918 r. była całą Marszałką Piłsudskiego. Tylko, że Marszałek miał mniej wygodne łóżko...

I akurat w roku 1914, tuż przed wojną, na trzy lata przed pojawieniem się Marszałka w Magdeburgu, siedział w Jego przyszłej celi van Gülpen. Można więc sobie wyobrazić moją radość, kiedy mi wręczył jowialny, niepohamowany Gaujägermeister, szereg zdjęć bezcennych, bo przedstawiających obiekty nie istniejące już, nieosiągalne. A więc: wewnątrz celi Komendanta i Jego szefa sztabu, ogródek, po którym spacerował, podwórze, skąd patrzył, zmianę warty i ponadto jedno zdjęcie intrygujące, wyobrażające mego Gaujägermeistra, drapiącego się jak kot po murze, jedną ręką uczepionego do jakiejś kraty okiennej.

— A to co przedstawia?

Zaśmiewa się van Gülpen.

— O, to cała historia, proszę pani! Kiedy

przebywałem w wiadomej celi, stwierdziłem raz pewnego, przypadkiem, że krata okienna jest ruchoma. Jakim cudem? Nie wiem, ale bez wielkiego wysiłku można ją było wyjmować. Toteż z koleżką moim, sąsiadem, regularnie wyjmowałem kratę, spuszczałem się na podwórze, na parkan i wiałem z nim do miasta na całonocną bomblerkę. W okresie wojny nie miałem pojęcia, że tak ważna osobistość zajęła moje miejsce w celi o uszkodzonej kratce, a kiedy się dowiedziałem, nie mogłem sobie odmówić satysfakcji, zanim poszedłem na cytadelę uwalniać Piłsudskiego, żeby nie napędzić trochę strachu staremu poczcwiwcowi generałowi, który mi długo i szeroko wykladał, jak niebezpiecznym więźniem jest Piłsudski i co on, generał, ryzykował, ręką za takiego jeńca głową...

— Tam do licha! A to ładna historia, panie generale! — zakrzyknąłem. — Bo panu na pewno nie jest wiadome, że w tej celi właśnie, gdzie ten groźny człowiek siedzi jest w oknie krata, wyjmująca się zupełnie łatwo!

— Myślałem, powiada van Gülpen, że starego generała szlag trafi na miejscu z wrażeń.

— *Du mein lieber Gott!* O mój Boże! o mój Boże! — jęczał, rwąc włosy.

— *Beruhigen sie sich, herr General!* Uspokój się pan, panie generale! I tak lament za



Ogródek na cytarzeli w Magdeburgu, po którym Marszałek spacerował.

późny, bo więźnia zabieramy, nie czekając aż się dowie o ruchomej kracie.

Węc także i to zdjęcie ofiarował mi van Gülpen, przedstawiające chwilę, kiedy, wyjąwszy kratę, drapie się do historycznej celi rankiem, podczas gdy go koleżka fotografuje. Odpis wspomnień swoich, wysłanych Belwedrowi, wręcza mi również.

— A teraz muszę iść, bo zaraz przyjdzie ta osoba, o której wspomniałem...

Śmieję się.

— Przecież pan mówił, panie majorze, że ta osoba może czekać?

— Ja?! Nigdy w świecie tego nie mówiłem! Jakże mogłem tak mówić?! A zresztą może...

I zaczyna na nowo opowiadać, machając rękami, tym razem o mającym się odbyć koncercie Kiepury.

— Co to za artysta?! To żaden artysta, kiedy Wagnera nie śpiewa!!

Żona go mityguje, że można być artystą i nie śpiewać Wagnera, ale van Gülpen irytuje się i nagle się zrywa, żegnając nas pośpiesznie.

— Nie. Jednak ta osoba nie może czekać.

I znika za drzwiami major van Gülpen, wesoły *Gaujägermeister für Gross-Berlin*, zostawiając nas ze swą żoną, przy herbacie z ciastkami, obstawionych fotografiami.

# MAGDEBURG

23. 8. 1917 r. – 9. 11. 1918 r.

## XV. HISZPAŃSKA GRYPA I ANGIELSKIE MONARCHINIE

**Z**AOPATRZONA TERAZ WE WSZYST-  
kie dane, zdjęcia i szczegóły, pakuję ne-  
seser na wyjazd do Magdeburga, do którego  
Marszałek przybył dnia 23 sierpnia 1917 roku,  
na długich 442 dni.

Wyjazd z Wesel nastąpił nagle, o czym  
znajdujemy nawet wzmiankę w ówczesnym  
tajnym polskim „*Komunikacie*“ (nr 89 z dnia  
27. 10. 1917 r.).

W Wesel, gdzie Komendant był więziony  
przedostatnio, robotnicy, Niemcy i Polacy, bę-  
dący „na Saksach“, urządzili demonstrację na  
Jego cześć i zażądali uwolnienia Go. W ciągu  
24 godzin Komendanta przewieziono do Ma-  
gdeburga.

W historycznym dla nas grodzie zajeżdżam  
do niemiłego gmachu Centralhotelu, o przera-  
żającym wyglądzie. Kolumny z marmuru,  
z drzewa, z kamienia, z ceraty, z gumy do żu-  
cia, a może nawet z czekolady, w pasy, w krat-  
ki, w pręgi, złożone, niklowane, malowane,  
o kapitelach złotych, kulach srebrnych, dywa-  
nach zielonych i rogózkach czerwonych — no  
okropność!

W moim malutkim pokoju na III piętrze  
piętrzą się bety, pierzyny i puchy na łóżku,  
a na ścianie wiszą naprzeciw siebie dwa obrazy



w żałobnych ramach. Szuszną żałoba, gdyż jeden imaginuje Lapletta Potta „*Marię Stuart idącą na ścięcie*“, a drugi Delaroche'a „*Śmierć królowej Elżbiety*“, jej przeciwniczki, a więc sceny wysoce ponure. Ponieważ Elżbieta umiera akurat naprzeciw, że tak powiem nos w nos z Marią Stuart, choć historycznie ewenementy te przegradza dobrych 16 lat, więc ta ostatnia zdaje się uśmiechać z kwaśną słodyczą i mówić głosem naszej Malickiej:

— *Dobrze ci tak, ukochana siostrz!!! Nosił wilk kozę, ponieśli i wilka...*<sup>17</sup>

Ale mało brakowało, aby nie ponieśli i mnie, bo dławiona z dawna grypa zaczęła nie

<sup>17</sup> Rolę M. Stuart grała u nas, w Warszawie, Malicka.

na żarty mnie atakować, gorączka wzmagala się, uśmiech pogniewanych na śmierć monarchiń nie dawał mi zasnąć — co uważałam zresztą za szczęśliwy traf, jako że pod pretekstem niewątpliwej choroby łatwiej mi przyjdzie odszukać lecznicę, w której się leczył Komendant. Świetny pretekst ta grypa!!! Rano więc o 9-ej, mocno niepewna co prawda na nogach, zaczynam chodzić po ambulatoriach. Niestety, nie dowiedziałam się nic, a jedynie wzmocniona zastrzykiem chinowym, który od razu obniżył gorączkę, ale zostawił pewne rozmarzenie i przetrącone nogi, idę do katedry.

Wiem, że zwiedzał ją Marszałek przy końcu swego pobytu, kiedy klęski wojenne złagodziły obyczaje Niemców. Żona dozorczy oświadcza mi uprzejmie, lecz stanowczo, że to nie jest godzina zwiedzania, ale jeśli jej zapłacę normalną takse, to ona mnie wpuści do środka. Płacę normalną takse i Szwabka zatrzaskuje za mną olbrzymią kratę żelazną na klucz, czyniąc uwagę, że od wewnątrz jest dzwonek na lewo, więc, że mogę zadzwonić, kiedy będę miała ochotę wyjść.

Nie wymawiając, dzięki Komendantowi nie wychodziłam prawie spoza krat przez całą moją podróż do Niemiec! Ciągłe za mną hukaly rygle i dzwoniły klucze, nawet — jak się okazało — przy najniewinniejszym wstępowaniu do kościoła. Na ostatnim etapie mej po-



Van Gülpen wykrada się z celi swojej na magdeburskiej cytadeli. Nikt nie wiedział, kiedy Komendant w tej samej celi siedział w 1918 r., że kraty w jego oknie były... łatwo usuwalne.

dróży czułam się już nawet w kryminale, jak w domu.

Mogłam, w dodatku, w katedrze przesiedzieć dłużej, niż zamierzałam, gdyż nie wpadło mi na myśl, iż świątynia ta, to miasto całe, ocienione jak grób witrażami, i o tak powikłanej architekturze, że jest niesłychanie trudna do orientacji. Cud Boży, że do tej pory nie chodzę tam w kółko, obijając się o stare figury, chrzcielnice, krucyfiksy i ławki!

## XVI. LOGIKA HISTORII

**Z**E KOMENDANT TU BYŁ — TO Z PUNKTU widzenia wieczności i historii rzecz naturalna.

Przed tysiącem lat przyjeżdżał do Bolesławowej Polski, wtedy, kiedy się ona wylaniała dopiero z chaosu księstewek, cesarz OTTO III, władca magdeburski.<sup>18</sup> Leży tu cała jego dynastia, z cesarzem Ottonem Wielkim, jego dziadkiem, i Edytą, jego babką. Cóż prostszego, jak to, że Marszałek Piłsudski rewizytował dynastię Ottonów, właśnie w przeddzień ery, gdy ta Polska dzięki Niemu odrodzić się znowu miała? Jest to porządek rzeczy naturalny, a że odwiedziny dostojników przedzieliły stulecia — czym to jest wobec wieczności narodów i ras?!

Łącząc w ciemnościach, do których, na

<sup>18</sup> Cesarz Otto odwiedzał w Gnieźnie Bolesława Chrobrego.



Plan Magdeburga z czasów Marszałka z zaznaczoną na lewo cytadelą, dziś nieistniejącą.

szczęście, oko się powoli przyzwyczajało, rozmyślałam, nad którymi też szczegółami zatrzymywał się Komendant, gdy pod koniec niewoli pozwolono Mu tu przyjść? Więc — naturalnie, że przede wszystkim zatrzymał się przed Swoim gościem onegdajszym, przed grobem protoplasty cesarzy Ottonów. W kapliczce gotyckiej, w ażurowe kolumnienki zdobnej, siedzi tam stary cesarz obok cesarzowej Edyty, swojej pierwszej małżonki, dzierżąc tarczę z 19 kulami. Nikt dotychczas nie rozwiązał, co oznaczają te kule. Lud twierdzi, że szczodry pan wydał 19 ton złota na wybudowanie katedry, ale pewne jest, że znaczą one

co innego i że szukać trzeba ich sensu w kabalistyce, w tajemnej jakiejś wiedzy. Każdy naród ma swoje „44”...

Opodal leży cesarzowa Edyta, w pozie naszej Jadwigi na Wawelu, tylko niższy ma sarkofag i czas nadbił jej nos cesarski i pokiereszował śliczną twarz uśpioną. W zbroi, groźny, strażuje nad nią św. Maur, Murzyn. W pewnej chwili, gdy się nad nią nachyliam (tak nisko leży), czuję nagle jakiś odurzający zapach. Czy możliwe, aby dotąd jeszcze się zachował upajający zapach jej kamiennych rąk złożonych? Czy też resztki to u mnie grypowej nieprzytomności? Wzruszyła mnie jednak ta subtelna, zaświatowa, mocna woń i szła za mną wciąż po czarnym jak noc gmachu. I dopiero znacznie później, w drodze powrotnej, spostrzegłam, że to prozaicznie pachnie... kołnierz mego własnego futra, do którego wsaadziłam nos, nachylając się nad sarkofagiem. Niemniej parę chwil „metafizycznej rozkoszy” przeżyłam, goniona domniemanym zapachem rąk cesarzowej.

Marszałek pewnie przyjrzał się germańskiej monarchini i także tej strzelistej, zażenowanej Madonnie, która we wnęce okna podnosi rękę, pozdrawiając uśmiechniętego filuternie archaniola.

Tej wszystkiej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości nieodgadnionej, nagromadzonej



w katedrze, dzwoni głucho i posępnie SUZANNA, dzwon olbrzymi zawieszony u szczytu wież przed wiekami, a tragedię świątyni otula mrok głęboki, skąpo filtrowany przez brzydkie, ciemnobłękitne witraże.

Przypominam sobie, że Noakowski kazał się raz zamknąć na jedną noc na Wawelu i że

dopiero wtedy ponoć wyczuł ducha jego architektury. Ja, zamknięta w katedrze magdeburskiej, jako nieartystka wyczułam tylko nieprzejeđnany gniew świętych i urazę ich nieukojoną za to, że katolicki ich przybytek zamieniono na protestancki, choć w niczym ich spokoju nie naruszono.

Po długim błędzeniu trafiłam nareszcie do dzwonka. Wysłałam, nakupiwszy rozmaitych widokówek u *Frau Wärterin*, która ma ich setki rozłożonych na stole, między kanapą a balią z pieluszkami. Przechodząc wzdłuż katedry zatrzymałam się jeszcze przed stojącymi na zewnątrz portalu *Dziesięciu Pannami Głupimi i Mądrymi*. Musiał się uśmiechnąć do nich Komendant pod wąsem, bowiem stoją takie zabawne, zaaferowane, powiewne, jednako głupie wszystkie, w swoich powłóczystych szatkach dziewiczych, po których spłynęło więcej stuleci, niżli panienkom wyznać przystoi. Pięć z nich chlipie żałośnie, a pięć uśmiecha się jak anioły.

## XVII. CI, CO SZLI Z MOTYKĄ NA SŁOŃCE I PRZECIW WIATRU DMUCHALI

WSTĄPIŁAM JESZCZE DO *LIEB-frauenkirche* (kościół Panny Marii), do jego precudnej Drogi Krzyżowej i zadzi-



Pomnik na cwałę  
młodzieży poległej  
w w. wojnie (usta-  
wiony na Krzyżo-  
wej Drodze w Lieb-  
frauenkirche w Ma-  
gdeburgu).

wiło mnie, że w tym archaicznym otoczeniu, omszonym wiekami, tak zazdrosnym o swe prawa, nie razi nic a nic młodzieńcza głowa, ustawiona na gładkim cokole, na pamiątkę nie-

dawno poległych młodzianków. Przypomina ta głowa swoim twardym, zadumany profilem Wernera Hinza, grającego w filmie „*Der alte und der junge König*” rolę następcy tronu. Wiodocznie ten fizyczny typ męski jest aktualny w hitlerowskich Niemczech i wyraża to, co w ich sercu wzięło ton najgórniejszy.

O ile bardziej wzrusza ta spokojna, zasłuchana w jakieś serafickie zewy, głowa chłopięca od naszego PEOWIAKA w Warszawie, leżącego w skłębieniu atletycznych mięśni przed miejscem mordu, jakiego dokonała ręka nastawionego obłąkańca na prezydencie Narutowiczu! Nigdy nie pojme, co ma za związek ta masa cielska z uduchowionym, tak bardzo młodym, tak bardzo uskrzydłonym, tak bardzo na ogół wątłym fizycznie naszym peowiakiem...<sup>19</sup>

Kiedy o nich myślę, odwracając oczy od wittigowskiej, mistrzowskiej skądinąd rzeźby, nie mającej nic z tamtymi wspólnego, przypominam sobie scenę, którą tak barwnie opisał pułkownik Kostek-Biernacki w „*MO-TYCE, SŁOŃCU I SEMAFORACH*”.

— W roku 1920 Naczelnik Państwa Marszałek Piłsudski gościł w Lublinie, w murach katolickiego uniwersytetu.

Książd rektor, otoczony niezbyt liczną

<sup>19</sup> Pomnik „Peowiaka” stoi w Warszawie przed gmachem Tow. Zachęty, w którym Eligiusz Niewiadomski zamordował prezydenta Narutowicza.

grupą profesorów, przeważnie w sutannach, i słuchaczy tej uczelni, rozpoczął przemowę wstępem, który byłby impertynencją, gdyby mówca zdawał sobie sprawę, do kogo mówi.

„Panie Naczelniku Państwa! Gdyby przed 10 laty ktoś nam powiedział, że w Lublinie, w polskiej wyższej uczelni, będziemy mieli zaszczyt witac uroczyście Naczelnika Niepodległego Państwa Polskiego i Naczelnego Wodza Wojsk Polskich — ogłosilibyśmy go za wariata, nałożyli kaftan bezpieczeństwa i zamknęli w domu obłąkanych...”

Wszyscy spojrzeli na Komendanta w tej chwili. Cóż to za wierutne głupstwo palnęła eminencja rektor! Wszak takim „wariatem” był właśnie Komendant, ów „nieśmiertelny brygadier nadziei”, rojący nie od dziesięciu, lecz od trzydziestu lat plany czynnej walki o Niepodległość i to z całą pewnością przyszłego zwycięstwa... Z taką pewnością, że kiedy raz, nad Stochodem, zapytano Go: Komendancie, a co będzie, jeśli wrócą czasy niewoli i nasze wysiłki nie osiągną celu? — to Komendant wyjaśnił prosto i krótko:

— Będziemy znów robili Związek Walki Czynnej od początku...

Więc Komendant prawie niedostrzegalnie uśmiechnął się (na słowa eminencji). Już wiedziałem, że odpowiedź będzie mocna. Po dłuższej tyradzie rektora, który wspomniał, raz je-

szcze bez taktu, o szczególnym uprzywilejowaniu uniwersytetu w Wilnie, a zapomnieniu o Lublinie, zabrał głos Komendant:

— Wasza eminencjo! — rzekł. — Kiedy byłem małym chłopcem, a potem młodym człowiekiem, wpajano we mnie trzy następujące zasady: z motyką na słońce nie leż, przeciw wiatru nie dmuchaj, głową o mur nie bij! Ja zaś proszę waszą eminencję, żeby wpajała młodzieży, którą wychowuje, inne maksymy: „z motyką na słońce leż, przeciw wiatru dmuchaj, głową o mur bij!...”

Owe credo wyznawały te szaleńcze głowy młodzieńcze, które w P. O. W. pokotem legły, samotnie, w lochach i pod skrwawioną ścianą, a które tak fatalnie wyraża pokonana, nienatchniona głowa wittigowskiego peowiaka, wsadzona w nadmiar byczego karku... Myślę, że każdy Polak, który się zabłąka pod arkady Drogi Krzyżowej *Liebfrauenkirche* w Magdeburgu i który spojrzy na pomnik poległych młodzianków niemieckich, nie omieszka westchnąć i wspomnieć żałośnie pomnika naszych poległych peowiaków w Warszawie...

---

Idąc dalej, dziwię się bani, omotanej w białe płótno, stojącej przed teatrem miejskim: to *Winterhilfe* (Pomoc Zimowa) pracuje w prowizorycznym, szkaradnym pawilonie. Ze 100

malców bije z całych sił w bębny, zwołując ofiarodawców. Za mną goni ten łoskot i inny — dalszy — z fabryk Kruppa dochodzący. Patrząc na wystawy sklepowe, zachwycam się prześlicznymi miejscowymi wyrobami koszykarskimi, bawią mnie spencerki z brudnożółtego weluru, które tu noszą prawie wszyscy, chłopcy i dziewczęta (podobny typ fraczka ujrzałam dopiero w Gdańsku) — ale zaczyna mi bić serce szybciej, bo oto wjeżdżam już na most, na Strombrücke.

Jestem na terenie dawnej cytadeli.

## XVIII. CYTADELA W UŚCISKU L E G E N D Y

JEST TYLKO TEREN PAMIĘTNY, BO cytadeli już nie ma. Pełno jedynie malutkich robotniczych domków prowizorycznych, ze śmiesznymi, pretensjonalnymi firaneczkami i na pstre kolory pomalowanymi bramami i furtkami. Pośrodku stoją dwa murowane budynki piętrowe, jeden biały, drugi z ciemnej cegły. Pytam starszego dozorcę robót, który tu pracuje od początku przy rozbiórce, czy nie wie, który z tych dwóch budynków mieścił w sobie *Sommeroffiziersarreststube*? Otóż żaden z nich, stwierdza kategorycznie. Oficerskie cele dawno rozebrane.

Dziwię się, bo właśnie jeden z tych budynków istniejących (ów biały) był reprodukowany we wspomnieniach gen. Sosnkowskiego, jako pawilon Marszałka, ale nie on jeden już! Po powrocie bowiem moim z Niemiec zgłosił się do mnie p. Ignacy Wąsowicz, legionista, kwestionując i moją informację, iż budynku historycznego już nie ma, i zdjęcie zamieszczone we wspomnieniach Generała. Pokazuje mi przy tym jeszcze jedną fotografię, zdejmowaną ponoć w tym samym okresie, kiedy ja w Magdeburgu przebywałam, zupełnie niezgodną ani z fotografią ze wspomnień gen. Sosnkowskiego, ani z tą, dostarczoną mi przez van Gülpna.

— Kto wskazywał panu — zapytuję — ten budynek, jako miejsce więzienia Marszałka?

— Ilia Nomberg, żyd, fabrykant, mieszkający od lat w Magdeburgu, na Helmholtzstrasse 5. Bo interpelowane *Polizeipraesidium* miejscowe odpowiedziało dość niejasno.

Nie uważam, aby źródło tych informacji było zbyt pewne i miarodajne, ale w każdym razie notuję wersję z obowiązku dziennikarskiego. Tak samo notuję reportaż p. Jana Witkowskiego, zamieszczony w Światowidzie, w 3 tygodnie po moim. Cieszy mnie, że podzielał mój przykład i że coraz więcej ludzi w Polsce zaczyna się sprawą więzień niemieckich Marszałka Piłsudskiego interesować. Przejdzie

ona z rąk naszych do historyków, jak pobudka. P. Jan Witkowski utrzymuje również, że pawilon Komendanta stoi do dzisiaj, że w jego celach mieszka teraz p. Kurt Weisshaupt etc. Powołuje się też na zeznania p. Altmanna, kelnera z Magdeburger-Hof, który posyłał obiady oficerom na cytadelę. Co do coraz to nowszych wersji, mimo wszystko, kto wie, czy szczegóły, podane mi przez mjra van Gölpena, nie są najbardziej wiarygodne. Dziś bowiem zaczyna się już tworzyć legenda i turystycznie nastawione Niemcy nie mają nic przeciwko temu, aby się rozpoczął polski ruch pielgrzymi w kierunku Szpandawy, Wesel, Magdeburga itd. Nie dziwnego więc, że zaczęły pokazywać coraz więcej tych pamiątek, budynków i cel, związanych istotnie czy fikcyjnie z osobą „*Więźnia Magdeburckiego*“. A prawda historyczna leży czasem bardzo daleko od turystycznych, świadomych i bezświadomych haczyków na głodne ryby.<sup>20</sup>

Kiedy oglądałam tereny fortecy, wskazali mi robotnicy miejsce, gdzie stały pawilony i ogródek, po którym spacerowali więźni ofi-

<sup>20</sup> Obecnie rzecz ta została z całą skrupulatnością cechująca Niemców zbadana i ustalona. Jeden z wspomnianych przeze mnie dwóch pawilonów został za pomocą świadków współczesnych pobytowi Marszałka w Magdeburgu, uznany za niewątpliwie historyczny i autentyczny i przez burmistrza dra Markmanna ofiarowany Polsce. Obecnie przywieziony i zrekonstruowany, stoi w parku Belwederskim.

cerowie. Odruchowo się nachyliłam i podniosłam kawałek cegły z rozebranego budynku. W ogóle, z każdego miejsca tych ciernistych etapów Komendanta brałam takie pamiątki dla Wandy i Jagody, co później, przy granicznej rewizji, napełniało niemałą podejrzliwość pp. urzędników celnych. Albo wariatka, myśleli, albo w tym coś jest...

## XIX. DROGA POWROTNA

**R**OZGLĄDAM SIĘ DOKOŁA. JAK ŻYŁ tu Komendant, jakie były Jego samotne dni i noce? Wiemy, że w Magdeburgu znacznie się poprawiły stosunki więzienne, które w Szpandawie i Wesel były okropne. Z czasem nawet, gdy coraz gorzej Niemcom się na froncie działo, stały się zupełnie znośne. W jednym z listów do rodziny, opisywał Komendant dokładny rozkład dnia więziennego, monotonnego nad miarę, dla takiej zwłaszcza czynnej natury, jak Jego:

„...Wstaję rano o 7.30, o 8-ej jem śniadanie, o 9-ej wychodzę do ogrodu na spacer. Nie jestem skrępowany jakimikolwiek godzinami i sam sobie określłam czas „świeżego powietrza“. Zwykle spaceruję dwie — dwie i pół godziny. Więc po jedenastej jestem w celi z powrotem i czytam do obiadu gazetę i książki.

Tych ostatnich mam wybór bardzo mały. O 12.30 obiad, względnie bardzo obfity, obfity niż miałem w Warszawie. Po obiedzie następuje najprzyjemniejsza chwila: piję własną herbatę, przez siebie zaparzoną — w pokoju jest najcieplejsza chwila (był to grudzień i cęła ogrzewała się tylko na krótko, po czym wracało przejmujące zimno), więc zapadam w rozmarzenie. Przy papierosie i dobrej herbacie myśli się snują i pędzą daleko i szeroko. Wobec tego, że stan taki na długo jest niezdrowy, przechodzę do najpoważniejszej części dnia: do studiów szachowych, co mnie zajmuje. Dobrych parę godzin zaś, szarą godziną, chodzę po pokoju, a gdy zabłyśnie elektryczność, kończę swoje szachy, czytam albo piszę — tak przychodzi pół do siódmej i kolacja, też niezła. Po kolacji, dla zaoszczędzenia oczu, nie pracuję, tylko kładę niezliczoną ilość pasjansów, na przeróżne intencje. To szlachetne zajęcie przerywam często spacerem po pokoju, a o dziesiątej wieczorem kładę się spać. Zасыpiam łatwo i tak kończę swoją pracowitą dobę...”

Z zakratowanych okien mógł mieć Komentant widok na Elbę i na daleką, wyniosłą katedrę, jeśli kilometrowe palisady na to pozwalały.

Przez ów właśnie most na Elbie (*Strombrücke*) przejechał samochód rankiem 8. 11.

1918 r., aby zabrać Komendanta i gen. Sosnkowskiego i pędzony czerwonymi sztandarami rewolty — mknął głównym traktem, a potem bocznymi drogami kluczył do Berlina. Zanim opuścił Magdeburg, miejsce niewoli, musnął jeszcze Komendant skrzydłem swego samochodu ulicę Krakowską (*Krakauerstrasse*) i przez Friedrichstadt, Hevrotsberg, Gerwisch, Moser, Burg, Reesen, Hohenseeden, zajeżdżał do Genthin, gdzie się zatrzymali, jak opowiadał van Gülpen, w mleczarni.

Jadę tą trasą w wznowionej gorączce, ledwo się „trzymając“. Leje rozpaczliwy deszcz i zaciemnia horyzont, co przeszkadza mi mocno w śledzeniu szosy z okien wagonu. Już w Gerwisch dostrzegam ją, między fabrykami konserw — w Möser mijamy ją i wysokim wąwozem wjeżdżamy do Burg. Tu, w samym Burg, starym grodzie jezuickim, znowu mnie dziwi spiczastość wież kościelnych, które jakby Panu Bogu oczy wydziobać zamierzały, i znowu cmentarz przy dworcu gniewa. Tu właśnie miało miejsce zdarzenie, o którym pisał van Gülpen — tu wpadli w środek rzekomo zatarasowanego zrewoltowanymi tłumami rynku, na którym ganiał tymczasem jeden tylko, samotny, biały foksterierek. Przez Jakobstrasse pojechali do Reesen i zatrzymali się w Genthin.

Wysiadam i ja. Deszcz ciągle leje jak z ce-

bra — gorączka wciąż mną trzęsie — buciki pełne wody. Szukam sławetnej mleczarni parowej, w której siedzieli godzinę przy mleku i chlebie, Komendant i Jego polsko-pruska świta. Mieści się tuż obok dworca. Przez *Poststrasse*, coraz bardziej na lewo skręcając, wchodzę na *Kaiserplatz* i widzę duże, nieforemne pudło ceglane, brzydkie jak noc. Po mokrych schodach żelaznych wchodzę do wnętrza budynku. Pachnie tu nieprzyjemnie serwatką, na zalanej także wodą podłodze ceglanej stoją rzędem konwie. Nie ma tu *Gasthausu* i nie chcą mi dać wypić szklanki mleka. Widzę tylko na prawo przez drzwi otwartą stancję, pośrodku której stoi stół nakryty sfatygowanym obrusem w dużą kratę. Na pewno ten sam stół i nawet może ten sam obrus... (Teraz w Berlinie polska ambasada stoi jednym skrzydłem zwrócona ku *Genthinstrasse*...).

Wsiadam z powrotem do pociągu, co pół godziny bowiem przelatują one przez Genthin. Ledwo minęłam stację, widzę masę drzew w lesie, powyrywanych z korzeniami lub obłamanych do połowy. Czyżby ślad jakiejś „rewolucji“ atmosferycznej? Tym zabawniej wyglądają wśród tych potrzaskanych olbrzymów cztery patyczki nóżek maleńkiej sarenki, która stoi, zamarta z przerażenia. Że też one się huraganowi oparły!!!!

Koło Kirchmöser wyłania się znowu szosa

Komendanta — mnóstwo *Seepawilonów* na jeziorze.

Brandenburg. Jakieś cudowne rozlewne wody, domki, ogrody i świerkowe lasy, gołe, bez podszycia. Lecz rewolucja zaczęła tu doganiać samochód Komendanta — gorzej, zaczęła mu zabiegać drogę. W Brandenburgu ostrzegają, że w Poczdamie rewolucja wre, wobec tego skręca van Gülpen gwałtownie przez Plauenstrasse, Grillendamm i — znowu Krakauerstrasse do *Kleiner Kreuz*, aby Poczdam ominąć. Może się obejrzał Komendant na pauliński klasztor, na dziwny, prostopadły, o zrosniętych dwóch wieżach bliźniaczych kościół św. Mikołaja, na dom kurfirstów brandenburskich zwłaszcza, gdzie Jadwiga Jagiellonka czasem rezydowała, i na aksamitne wody Plauskiego jeziora, które falują nie jak woda, lecz jak draperia, u stóp rozległego zamku?

Droga boczna wiedzie teraz na Vesperan, Roskow, Zachow, Ketzin, Falkenrehde, Priort, Rohrbeck, Staaken, Döberitz.

„...Piłsudski kaszlał i zasłaniał sobie usta starym kapeluszem filcowym przed prądem wiatru — pisze w swoim liście w trzy dni później hr. Kessler. W pewnej chwili trącił mnie i, wskazawszy na pola, mówił cicho do mego ucha, szanując swój głos: tak wygląda Jego ojczyzna, Jego kraj rodzinny, w którym wy-



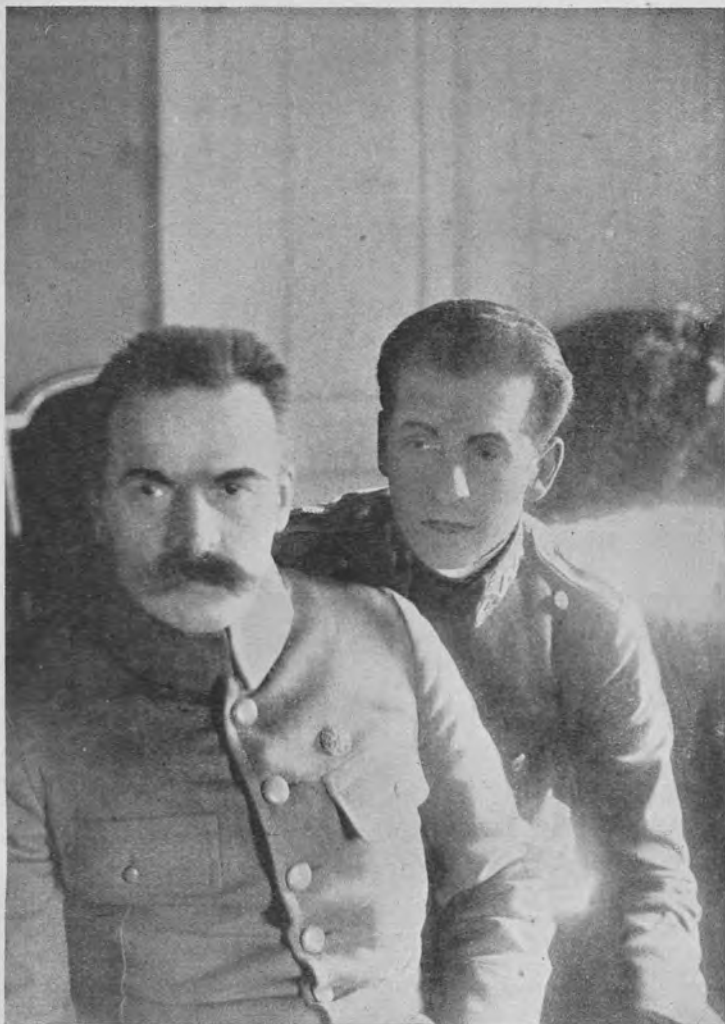
rósł. Taka sama chuda gleba, takie same sosny i takie obszary leśne. Tylko więcej było wynio-  
słości i bardziej jeszcze jałowa była gleba  
w małej posiadłości Jego rodziny pod Wilnem.  
Jego szare, niebieskie, poniekąd tajemnicze,  
ale bardzo dobre oczy, swobodnie patrzyły na  
krajobraz. Lud Jego otrzymywał swego Wo-  
dza. W tej pogodnej, a przez wojnę i rewolucję  
otoczonej, spokojnej okolicy — byliśmy jak  
bracia. Wyjechaliśmy jednak z tej idylli zno-  
wu w krąg rewolucji. Cała ludność, już na no-  
gach, gapiąc się, tworzy szpaler przy wale ko-  
lejowym, za nią bezczynna straż podoficerska,  
w komicznych starych mundurach i wylako-  
wanych hełmach szturmowych (wzór 1813).  
Jakiś oficer rezerwy, w czerwonej atyli, jako  
widz, zaś rewolucja w postaci dwóch pociągów,

wypełnionych po brzegi uzbrojonymi marynarzami...”

Samochód mija te wzburzone i nie poczytalne bałwany i wpada na pokrzywionych kołach na Heerstrasse, na Reichstrasse. Właśnie do tego domu van Gülpena, który omawiałam poprzednio. Stamtąd zaś wieczorem odwożą więźniów do hotelu Continental.

## XX. POKOJÓWKA I SZTANDARY L I E B K N E C H T A

MIESZKAM W TYM HOTELU, OBECNIE na poły rządowym, przy ulicy Neustäd-tische-Kirchenstrasse. Znowu ten w niebardzo dobrym guście splendor, złocenia, kolory, aksamity, brązy, musztardą oblane. Staram się dowiedzieć, czy ktoś coś pamięta z dni pobytu Komendanta. Bądź co bądź były to dni dla Berlina pamiętne, bowiem rewolucja wytoczyła właśnie swe purpurowe oblicze na ulice miasta, a tu, do milczącego pana, w skromnym, siwym mundurze, wpadali co chwila i wypadali pruscy dygnitarze: hr. Lerchenfeld, księżę Hatzfeld. Tu wszakże w hallu próbowali wydobyć od Komendanta deklarację, że niczego przeciw Niemcom nie przedsięweźmie, kiedy odzyska wolność. Kusili Go, jak mogli, Ojczyzną, Warszawą, wolnością, rodziną,



Fotografia Marszałka, zamieszczona w ostatnim październikowym nrze „Die Woche“ z 1918 r., z którym przyszedł do Niego żołnierz z warty w cytadeli magdeburskiej z okrzykiem: „Nie wiedziałem, że jest pan tak wielkim człowiekiem!“

a Komendant uśmiechał się uprzejmie i mówił, że niczego podpisać nie może, ale, że Jego Ojczyzna ostatecznie każdy dar od losów przyjmie, każdy dar...

Wspomina o tym *Frankfurter Zeitung* z dnia 7. 10. 1928 r., że „chciano zażądać od Piłsudskiego pisemnego oświadczenia, iż nie nie przedsięwzięcie przeciwko Niemcom, jednak pod naciskiem przewalających się wydażeń, wysłano w nocy z 7 na 8 listopada 1918 r. pilny rozkaz do hr. Kesslera, ażeby uwolnił Piłsudskiego także bez owego pisemnego oświadczenia i przywiózł go najszybszą drogą do Berlina...” a Kessler w swoim liście z 12. 11. 1918 r. daje wyraz nieorientowaniu się ówczesnych władz w położeniu, pisze bowiem:

„...Jasne było, że najwyższy czas, aby wywieźć Piłsudskiego z Berlina (urządzono już napad na koszary Maikäfer!). Poszedłem tedy z Hatzfeldem do Ministerstwa Wojny, by zażądać osobnego pociągu. Przyjął nas jakiś major Sztabu Generalnego, zachowujący się tak, jak w najpiękniejszych dniach wojny, roztargetniony i ironiczny: Piłsudski nie przestawał być dla niego zawsze jeszcze zwyczajnym „hultajem...”

Ale Niemcy w hotelu nic nie pamiętają. W całym gmachu zresztą jest tylko dwoje ludzi z onych burzliwych czasów: *Hausdiener* — służący Paweł Mai i *Frau Marie* od szatni, ekspokojówka. Paul Mai, na moje zapytanie, skrobie się w głowę i odpowiada inteligentnie:

— *So viele Russen wohnten hier!!!!* Tyle

Rosjan tu mieszkało!!! jakże mogę sobie przypomnieć?!

Wstępuję do szatni, zdejmuję futro i przypatruję się uważnie *Frau Marie*. Czyżby to była ta, o której pisał gen. Sosnkowski:

„...Na korytarzu hotelu jakaś pokojówka, niebrzydka, fertyczna, płakała rzewnie raczej z radości, niż z przestachu (na widok rewolucyjnych demonstracji ulicznych). W nagłym przystępie świetnego humoru, korzystając z rozpoczętej ery równości, braterstwa i swobód obywatelskich, przyskoczyłem do płaczącej dziewczyny i — zanim zdążyła ochłonąć ze zdumienia, ucałowałem ją na pożegnanie w oba różowe policzki...”

Byłaż to o *Frau Marie* mowa, stojącej w tej chwili przede mną, zaiste mało-fertycznej i wcale nie różowej?! Odpowiada mi z owczą bezmyślnością, że nie nie pamięta.

Księgi hotelowe też nic nie powiedzą — spaliły się wszystkie w czambuł 5 lat temu, podczas groźnego pożaru, więc i tu nie znajdę śladu. Dziwna rzecz zresztą, że którydy szedł po obczyźnie Marszałek, tam zacierał swój ślad. Nie znalazł ich kpt. Lepecki na Sybirze — w Magdeburgu i Wesel nie istnieją już cytadelle, miejsca Jego pobytu, słynna z Jego pobytu w Berlinie restauracja Hillera (o której później) została rozebrana, a nawet w przygodnie wybranym hotelu musiały spłonąć wszystkie

księgi, aby nie figurowało Jego nazwisko. Wszystką moc tegoż, wszystek czar swojej legandy, zachował dla własnego kraju...

Wedle van Gülpena mieszkali w zarezerwowanych dla nich przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych (*Auswärtiges Amt*) apartamentach, na I piętrze.

## XXI. UCZTA ZADŻUMIONYCH

**R**ANO ZACHCIAŁO SIĘ POLSKIM PANOM obejrzyć Berlin, przynajmniej po czubkach, ale Komendant nie miał szabli, a nosił mundur, więc nie chciał bez broni wychodzić na ulicę. Szabla została w Warszawie, w przechowaniu i... w oczekiwaniu.

„...Wskutek tego — pisze hr. Kessler — zerwałem się zaraz rano, ażeby wystarać się o szpadę. Wyszedłem w mundurze, nie mogąc zabierać się do takiej sprawy w cywilu, i tak chodziłem po mieście. Doznawałem przy tym przykrego wrażenia po tym wszystkim, co widziałem w Magdeburgu, takiego, jak podczas naszego wspólnego (z Piłsudskim) przejścia przez Pilicę w grudniu 1914 roku. W poszukiwaniu szpady chodziłem po całym Berlinie w mundurze, aż do godz. 2-ej, nie napaśtowany przez nikogo. Jednak wszystkie składy z bronią były bezwzględnie pozamykane

i to zmusiło mnie, czy też dało sposobność, której sam sobie życzyłem, podarować Piłsudskiemu jako pamiątkę mój własny bagnet...“

Gen. Sosnkowski dodaje od siebie w swoich pamiętnikach uwagę, *ex re* tej darowizny, że „*bagnet i w Legionach stanowił zwykłą broń boczną, noszoną w polu...*“

Wtedy dopiero wyszli: Komendant i gen. Sosnkowski przez Friedrichstrasse, Leipzigerstrasse, koło Pariserplatz i Unter den Linden, eskortowani dyskretnie przez anioła stróża. Może szukał Komendant w obcym mieście śladów Swojej Matki, która będąc młodziutką panną była tu operowana?...

O godz. 2-ej wrócili do hotelu, gdzie czekał hr. Kessler znowu, z zaproszeniem na śniadanie do Hillera. Mieli być na nim, oprócz naszych panów, van Gülpen i ksiązę Hatzfeld z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Szli znowu przez miasto, które nie wykazywało najmniejszego podrażnienia, spokojnie oddychając normalnym oddechem wielkiej stolicy. Bardzo blisko hotelu, na Unter den Linden (gdzie, nawiasem mówiąc, wycinają dziś cudowne lipy<sup>21</sup> na korzyść, zdaje się, kolei podziemnej), znajduje się ta niewielka, lecz bardzo stara i renomowana restauracja Hillera. Jak wszystko w Berlinie, i ona jest przeła-

<sup>21</sup> Nie wycinają, tylko wykopują i pieczołowicie przesadzają na podmiejskich terenach, osłaniając od wichrów.

dowana złoceniami i brązami. Świeczniki dziwaczne, na pół z brązu, na pół z saskiej porcelany, boazerie niemiłe i kłójące się z obiciem mebli — wszystko tonie w sosie ciemnomusztardowym, posępne i ciężkie.

Na zawadiackim umyśle van Gülpna uczta ta u Hillera nie wywarła żadnego wrażenia, nie wspomina o niej, ale u gen. Sosnkowskiego i u hr. Kesslera pozostawiła głęboki ślad. Piśsze o niej ten ostatni w swoim liście:

„...W salach frontowych okna były zasłonięte firankami, a wszystkie stoły zajęte. W głębi nic nie można było słyszeć, jednak kelnerzy informowali nas od czasu do czasu, że coraz większe tłumy posuwają się przez Friedrichstrasse. Następowaly długie przerwy, podczas których żartobliwie wypytywano p. Stocka (kierownika restauracji), czy kuchnia pozostaje jeszcze w rękach rządu, czy już nie? Nastrój w tym cichym, zasłoniętym pokoju, przy starannie chłodzonym albo ogrzany winie i stosunkowo spokojnym obiedzie, w towarzystwie człowieka takiego jak Piłsudski, podczas gdy w mieście szalała rewolucja, był nadzwyczajny! Piłsudski był poważny i przygnębiony, gdyż obawiał się może, iż te okropne zdarzenia, które przechodzą Niemcy, również i w Polsce nastąpią...“

Jeszcze więcej miejsca poświęca tej dziwnej uczcie gen. Sosnkowski, nazywając ją



Berlin. Restauracja  
Hillera na Unter-  
den Linden.

UCZTĄ ZADŻUMIONYCH i traktując z olśniewającym talentem literackim i psychologicznym:

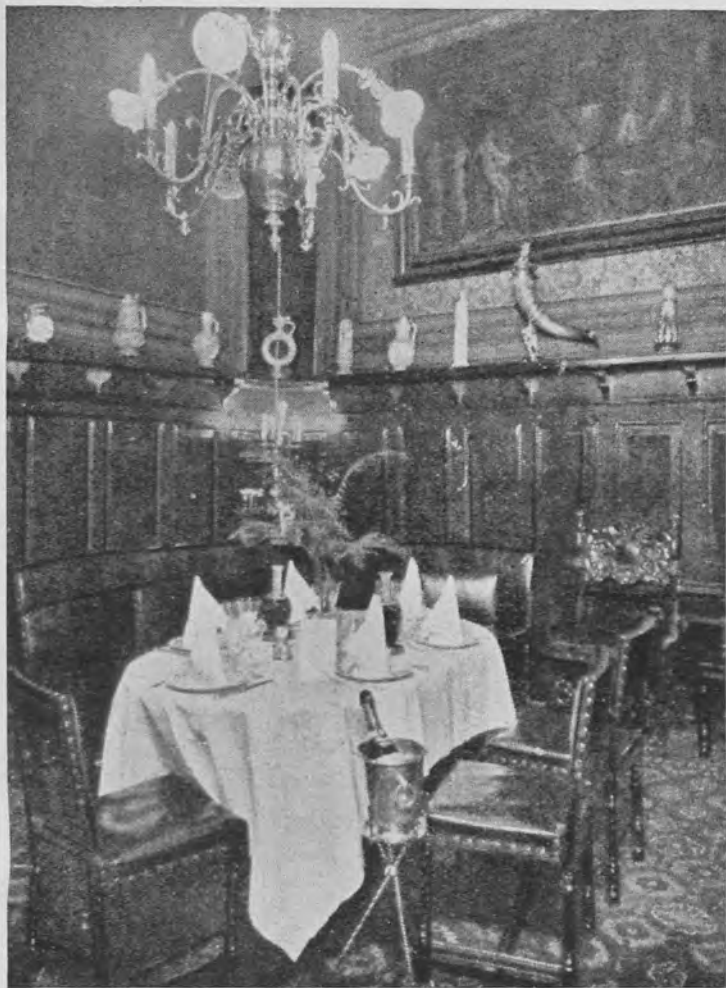
„...Śniadanie było zastawione w osobnej niewielkiej sali, położonej nie od ulicy, lecz w tylnej części lokalu. Szereg lokajów w nieskazitelnych frakach, stół zastawiony wspólnie, śnieżna biel obrusa, kwiaty, jarzące refleksy srebra i kryształów i bogate złoceń staroniemieckiego stylu — wszystko zalane potokiem elektrycznego światła, spływającego z zapalonych pajaków. Okna sali były szczelnie zasłonięte żaluzjami od zewnątrz. Książę Hatzfeld, hr. Kessler, van Gülpem i ja po cywilnemu — jedynie Komendant w swoim skromnym, nieco wyszarżałym mundurze, którego siwa plama dziwnie odbijała od całości obrazu.

Od samego początku zapanował przy biesiadnym stole nastrój niezręczny i wyraźnie fałszywy. Komendant był milczący i zamyślny — ja, zły na cały ten niedorzeczny pomysł, postanowiłem jeszcze po drodze do Hillera iż będę bardzo chłodny i pełen demonstratywnej rezerwy. Rozmowa rwała się co chwila, ustępując miejsca kłopotliwemu milczeniu. Nie pomagały najprzedniejsze i najwyszukańsze potrawy, które nie różniły się niczym, ani pod względem doboru, ani jakości, od przedwojennych smakołyków: dla zakładu Hillera wojna jakby nie istniała! Na próżno ks. Hatzfeld i hrabia Kessler silili się na uprzejmość — nadaremnie van Gülpen usiłował ratować sytuację dowcipami — milkły one głucho, bez echa, chybiając najzupełniej celu. Jakoś między drugą a trzecią potrawą, ktoś z administracji lokalu wszedł do sali i zbliżywszy się do ks. Hatzfelda począł mu coś długo i z przejęciem szeptać do ucha. Widocznie szept zawierał wiele interesujących szczegółów, gdyż twarz słuchającego spoważniała w mgnieniu oka.

Ks. Hatzfeld wstał z krzesła i zwrócił się do nas z lekkim, ledwie wyczuwalnym drżeniem w głosie:

— Panowie wybaczą, iż muszę ich na chwilę opuścić. Z urzędu kanclerza Rzeszy wzywają mnie do telefonu.

Gabinet w restauracji Hillera w Berlinie, w którym się odbyła słynna „uczta zadumionych”.



Gdy po kilkunastu minutach wrócił, spojrzałem mu uważnie w twarz: wydało mi się, iż kąciaki jego ust drgają nerwowo. Kessler nie spuszczał z niego pytającego wzroku. Hatzfeld w odpowiedzi skinął z lekka głową. Zrozu-

miałem, że tam na mieście, poza szczelnymi żaluzjami, dzieje się coś niedobrego. Nie mogłem sobie odmówić małej satysfakcji, czy zemsty i, ożywiwszy się znienacka, począłem rozwijać swoje towarzyskie talenty, inaugurując *une causerie brillante* — olśniewającą rozmowę — w najwytworniejszej niemczyźnie, na jaką mnie stać było. Oczywiście, z kolei nasi gospodarze dziwnie zeszytnieli i wszelkie moje wysiłki nie zdołały z nich wydobyć nic więcej, ponad krótkie, machinalne, z widocznym wysiłkiem udzielane odpowiedzi. Atmosfera stawiała się z minuty na minutę coraz duszniejsza i bardziej nerwowa. Funkcjonariusz lokalu zjawił się powtórnie na sali:

— *Durchlaucht werden zum Telephon gebeten...* Książę pan jest proszony do telefonu...

Oczekując powrotu Hatzfelda, milczeliśmy wszyscy — teraz już szczerze, bez żenady, nie zadając sobie żadnego przymusu. Nieobecność jego tym razem trwała dość długo. Zacząłem się już w duchu niecierpliwić, przeczuwając, że zbliża się decydująca chwila. Nareszcie ks. Hatzfeld ukazał się we drzwiach. Za chwilę wiedzieliśmy już wszystko. W Berlinie rewolucja. Z rozkazu kanclerza Rzeszy, mamy niezwłocznie wyjechać do Warszawy...

Opuszczaliśmy salę w pośpiechu, pozostawiając za sobą strojny stół biesiadny, pełne talerze, nietknięte kielichy i szereg kelnerów,

wystraszonych i zastygłych w bezruchu, z półmiskami w ręku... Tak skończyła się ta prawdziwa „uczta zadżumionych...”

Kiedy wchodzili do tego gabinetu, Berlin był, jak się rzekło, spokojny i cichy, a kiedy wychodzili w niespełna 2 godziny, ulica berlińska zmieniła się do niepoznania. Nad zamkiem cesarskim powiewał czerwony sztandar, zawieszony właśnie przez Karola Liebknechta, wodza spartakowców, komunistów, który w rok niespełna zginął wraz z Różą Luksemburg, zamordowany przez rozwścieczony tłum. Na te dwa nazwiska zioną nienawiścią Niemcy dzisiejsze — co prawda i nam niezbyt miłe jest nazwisko Róży Luksemburg, która, wyswabdzając rzekomo ludy, pragnęła „organicznego wcielenia Polski do Rosji“, tak, aby raz na zawsze uniemożliwione zostało wskrzeszenie nasze (*Die industrielle Entwicklung Polens*, 1898).

Teraz, kiedy szli Komendant i gen. Sosnkowski do hotelu, ryczał Karol Liebknecht tłumom upajające rzeczy:

— Dzień rewolucji nastał! Stary nie istnieje! Proklamujemy nowy, wolny, socjalistyczny rząd robotniczy i żołnierski i pozdrawiamy naszych sowieckich braci Rosjan!!!! — Przez miasto dudniały i przewalały się rozwrzeszczane szeregi — marynarze strzelali na wiwat na samochodach ciężarowych, a spoza Moabitu,

z fabryk broni, zewsząd walili demonstranci, machając czerwonymi płachtami i urągając staremu światu. Na rogu zaś ulic, wśród nieopisanego podniecenia, sprzedawano znowuż białe płachty z napisem:

— ABDYKACJA CESARZA WILHELMA!!!!

Kraj już był w ogniu. Tych parę chwil, spędzonych w zacisznej restauracji, zdecydowało o losach Komendanta. Nie myśleli już Niemcy o zniewalaniu Go do politycznych deklaracji, chcieli Go jak najprędzej wytransportować z oszalałego kraju, „ludząc się nadzieją — jak wnioskuje gen. Sosnkowski — że w ten czy inny sposób uda się im jeszcze cośkolwiek uratować z ówczesnego stanu posiadania w zakresie sprawy polskiej“...

Tyle się naczytawszy o ważności spraw i decyzji, które się rozegrały na terenie hillerowskiej restauracji, zrozumiałe jest, że do niej podążyłam. Po owej sławetnej „ucztie zadżumionych“ skupiało się tu długo wszystko, co było w Niemczech praworządne i antirewolucyjne. Stary, siwy kelner prowadzi mnie do „*Altdeutsches Zimmer*“ (staroniemieckiego gabinetu), gdzie się ta uczta odbyła. Jest ów gabinet niewielki, brzydki, pośrodku krągły stół, w głębi jakiś bohomas holenderski, wiszący na ścianie — i wszystkie okna zasłonięte. Może to na pamiątkę tamtego dnia żaluzyj

nigdy się już nie podnosi i pali dniem i nocą światło? Jest w każdym razie zaciszny ten pokój schowany głęboko na końcu wąskiego korytarza.

Próbuję wypytać kelnera, ale odpowiada, jak każdy tutaj w Berlinie, że za dużo bywało „Rosjan” w zakładzie, aby mógł pamiętać — dalej, że ten sam p. Stock pełni do dziś swoje funkcje i że kiedyś, przed 30-tu laty, w tym staroniemieckim gabinecie, który oglądam, jadł obiad „*ein polnischer Musiker... aber wie heisst er denn!?...*” „jakiś muzyk polski... ale jak on się nazywa?...” Podpowiadam mu, że zapewne Paderewski.

— *Ach ja! richtig! Paderewski!* Ach tak! tak! istotnie Paderewski! — cieszy się kelner niezmiernie, podając mi porcję baranich kotletów, których nie znoszę, i krem maraskinowy, którego też nie znoszę. Zjadam je jednak, zamyślona, przez nieuwagę, i, słono zapłaciwszy, wychodzę. Jestem tak przejęta wspomnieniami, że mimowolnie nasłuchuję, czy nie pękają granaty ręczne, czy nie walą samochody z marynarzami i czy nie powiewają na wszystkich drzewach i masztach czerwone sztandary. Na szczęście, nie. Zaraz obok, na rozkopanej ulicy Unter den Linden, na każdej drezynie, wiozącej piasek czy szuter, powiewa triumfująco swastyka.

*Lieb Vaterland, magst ruhig sein...*<sup>22</sup>

<sup>22</sup> Niemiecka pieśń patriotyczna: „Ojczyzna droga, możesz spać spokojnie.”

**Z**ARAZ PO UCZCIE HILLEROWSKIEJ, z Friedrichsbahnhof, znajdującego się o krok od hotelu Continental, wyjechał Komendant do Warszawy w eskorcie pp. van Gülpena i hr. Kesslera. U bram Warszawy musiał się jeszcze odbyć akt o historycznym posmaku — zjawisko towarzyszące zawsze i wszędzie Piłsudskiemu.

Oto, kiedy mknęli pociągiem ku Ojczyźnie, ziemia niemiecka, zrewoltowana, przycichała i miny pruskich oficerów rozjaśniały się powoli, aż nagle dopadła ich znowu rewolucja w Toruniu. Na dworcu urzędowała już Rada Żołnierska i Robotnicza niemiecka. Pociąg zatrzymano. W stosunku do byłego więźnia twierdzy magdeburskiej nowe władze zachowały się z demonstracyjną kurtuazją, ale na van Gülpena i hr. Kesslera zaczęły krzywym i łakomym okiem patrzeć. I — od razu odmięły się role, wedle logicznego już sensu. Teraz Marszałek Piłsudski objął opiekę nad obu Niemcami. Któż, jak nie On, gospodarz tej ziemi, jadący, aby podpisać mieczem i piórem akty odwiecznej własności, wyrąbywanej drżącymi z niecierpliwości rękami Jego żołnierzy?!

Tak to u wjazdu do Warszawy, do oszadającego się kraju, raz jeszcze objęło Jó-

zefa Piłsudskiego skrzydło Historii, zwiewne  
i potężne zarazem, jak sama Prawda.

*Gdańsk 26. 2. 1935.*

*Szpandawa 20. 2. 1935.*

*Wesel 24. 2. 1935.*

*Magdeburg 22. 2. 1935.*

# DOPEŁNIACZE I PRZYCZYNKI

**O**BIETNICA, DANA W MAGDEBURGU przez majora van Gülpna Komendantowi, że Jego rzeczy będą z fortecy odesłane do Polski, była dość ryzykowna i, mimo najlepszej woli obiecującego, mogła pozostać niedotrzymana. Oto bowiem, jaki raport składa w trzy dni po wyjeździe Komendanta z Magdeburga podoficer Fritsche:

„Komenda Garnizonu.

Magdeburg, 11 listopada 1918.

Podoficer mający nadzór nad mieszkaniami więźniów fortecznych, vicefeldfelbel Fritsche, zeznaje do protokołu, co następuje:

— W piątek dnia 8. 11. 1918, gdy brygadier Legionów Piłsudski i pułkownik Legionów Sosnkowski zostali wypuszczeni z więzienia, przyszła gromada żołnierzy i osób cywilnych do budynku więziennego i wdarła się do wnętrza tak, iż temu przeszkodzić nie mogłem. Chociaż oświadczałem im najwyraźniej, że w budynku tym nikt już nie jest więziony i że znajdują się tam tylko rzeczy polskich oficerów — żołnierze otworzyli sobie izby. Z celi zamieszkiwanej przez płk. Sosnkowskiego porwano i zabrano szereg przedmiotów, uważałem, że zabrano ubrania cywilne. Nie

mogę wymienić z osobna wszystkich rzeczy, jakie zostały zabrane. Także zrabowano 2 skrzynki i 1 paczkę, przeznaczone dla płk. Sosnkowskiego.

*Fritsche*  
Vicefeldfelbel

(podpis nieczytelny)  
kapitan rezerwy

Dopisek:

*Dzień 8. 11. 1918 był dniem wybuchu rewolucji.*

(podpis nieczytelny)  
pułkownik.“

Zaczęła się teraz korespondencja między p. Karolem Rose, konsulem generalnym Rzeczypospolitej Polskiej (Berlin, Bellevue 11-a), a Królewskim Poselstwem Duńskim w Berlinie, tego ostatniego z Komendą Garnizonu w Magdeburgu, z Ministerstwem Wojny w Berlinie etc.

Allegat B. zawiera kopertę:

„Królewskie Poselstwo Duńskie Berlin do Generalnego Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej.

Berlin, Potsdamerstrasse 12.“

A w tej kopercie:

- 1) Protokół powyższy vicefeld. Fritsche.
- 2) Pismo Komendy Garnizonu w Magde-

Jarnisonkommando.

Magdeburg, den 11 November 1918.

Der Aufsichtsunteroffizier der Festungsstübengefangenenanstalt, Vizefeldwebel *P r i t z s c h e*, gibt folgendes zu Protokoll:

Am Freitag, den 8.11.18, nachdem der Legionsbrigadier von Piłsudski und der Legionsoberst von Sosnkowski aus der Anstalt entlassen worden waren, kam eine Anzahl Soldaten und Zivilpersonen nach dem Anstaltsgebäude und drang in dasselbe ein, ohne dass ich dies verhindern konnte. Obwohl ich auf das Bestimmteste erklärte, dass niemand mehr in der Anstalt festgehalten würde, und dass nur Eigentum von den polnischen Offizieren sich noch hier befindende, sind von den Soldaten die Stübengeöffnet worden. Aus der von den Oberst von Sosnkowski benutzten Stube sind eine Reihe von Gegenständen von den Soldaten gewaltsam herausgerissen und mitgenommen worden, bemerkt habe ich, dass Zivilkleider genommen worden sind. Alle einzelnen Sachen, die genommen worden, kann ich im einzelnen nicht angeben. Auch für den Oberst von Sosnkowski bestimmte Kisten und 1 Paket wurden ausgeplündert.

v. E. H.

*Thyryke*  
*Offizier*

P. J. O.

*Körpfermann*  
Hauptmann d. Res.

*Am 8. 11. 18 um 10 Uhr Tag der Auslösung der Revolution*

*Gutwatz*  
*Oberst*

Raport o rzeczach  
Marszałka Piłsud-  
skiego pozostawio-  
nych w Magde-  
burgu. U dołu cha-  
rakterystyczna  
wzmianka o wy-  
buchu rewolucji.

burgu z dn. 9. 3. 1919, dotyczące się byłych oficerów legionowych: Piłsudskiego i Sosnkow-

skiego, zapytujące Generalną Komendę IV A. K., co ma zrobić z rzeczami i pieniędzmi wyżej wymienionych oficerów, które pozostały w Komendzie Garnizonu i z braku adresu nie mogły być odesłane. Komenda Garnizonu prosi o rozstrzygnięcie, co ma się stać z tymi rzeczami, względnie do kogo mają być odesłane.

3) Spis rzeczy należących do brygadiera Piłsudskiego.

4) Spis rzeczy należących do płk. Sosnkowskiego.

5) Rachunek conta brygadiera Piłsudskiego.

6) Rachunek conta płk. Sosnkowskiego.

7) Kartka bez daty pt. *Noch zu erledigen!* Jeszcze do załatwienia!

8) Przypomnienie: *Absendung der Kisten u. Koffer an Piłsudski u. Sosnkowski!* Odesłać rzeczy i kufry Piłsudskiemu i Sosnkowskiemu.

9) Pismo Komendy Garnizonu Magdeburg do Ministerstwa Wojny w Berlinie z dnia 15. 2. 1919 r., przypominające sprawę pozostawionych rzeczy. Podpisana już Rada Żołnierska.

10) Odpowiedź Ministerstwa Wojny w Berlinie 27. 2. 1919, aby rzeczy odesłać Poselstwu Duńskiemu i dbać o to, aby doszły nieuszkodzone.

11) Pismo Komendy Garnizonu w Magdeburgu z dnia 8. 3. 1919 do Poselstwa Duńskiego w Berlinie, dołączone do odesłanych rzeczy.

12) 10. 3. 1919 dodatkowa przesyłka pieniędzy, pozostałych po więźniach.

13) Spis następujących przedmiotów, należących do brygadiera Legionów Polskich Piłsudskiego, które pozostały w Magdeburgu, po jego odjeździe dnia 8. 11. 1918 (allegat 3):

1) płaszcz, podbity futrem, 2) 2 surduty, 3) 1 spodnie, 4) kuferek ręczny, 5) pantofle, 6) buty, 7) 9 czystych sztuk bielizny, 8) koszula nocna, 9) 5 par pończoch, 10) 3 pary mankietów, 11) 1 trykot, 12) pudełko papieru listowego, 13) 7 książek, 14) pudełko z półtora paczką herbaty i 2 łyżeczkami srebrnymi, 15) szachy, 16) teczka na listy, 17) koperta z papierami, 18) 2 talie kart, 19) łyżka, nóż, widelec, 20) lekarstwa, 21) 1 filiżanka z dwoma spodkami, 22) 6 par pończoch, 23) 8 koszul, 24) 7 chustek do nosa, 25) 2 duże koce.

Najważniejsze było, że wśród tych rzeczy, o czym suchy spis nie wspomina, był manuskrypt „MOICH PIERWSZYCH BOJÓW“ Komendanta. I ten jednak odnalazł się i mimo bałaganu rewolucyjnego w Niemczech wrócił do rąk Autora, nie prędzej jednak, zdaje się, jak w roku 1924. Bardzo ciekawe są rachunki za pobyt i utrzymanie Komendanta w więzieniu fortecznym w Magdeburgu i wielce byłoby wskazane, aby nasze władze wystarały się jeszcze w Niemczech o rachunki ze Szpandawy i z Wesel.

Przed wszystkim, dzięki tym rachunkom ustali się dokładnie daty przyjazdu i odjazdu Komendanta z danych miejscowości. I tak na przykład, wedle gen. Sosnkowskiego, pobyt w więzieniu w Wesel trwał „z górą miesiąć”, więc w przybliżeniu obliczyć było można, że Komendant przybył do Magdeburga koło 8—9 września, bo wyraźnie stwierdza generał, iż „podróż po więzieniach odbywaliśmy wedle jednej marszruty, w tym samym czasie i w analogicznych warunkach”, a więc, że daty jego wyjazdów i przyjazdów, są datami Komendanta. Tymczasem, na podstawie rachunków za utrzymanie „brygadiera Legionów v. Pilsudskiego” w twierdzy magdeburskiej, których mi łaskawie użyczył p. Kazimierz Świtalski, b. marszałek Sejmu<sup>23</sup> — Komendant przebywał w Magdeburgu od 23 sierpnia (1917), a więc równo 442 dni, i nie był dłużej w Wesel, niż dni 18, bo, jak twierdzi gen. Sosnkowski, przebywali w Szpandawie tydzień, a z Gdańska wyruszyli „6-go dnia” tzn. 29 lipca 1917.

Bardzo ważne byłoby zrewidować i ustalić daty na podstawie rachunków więziennych, których na pewno skrupulatni Niemcy nie zagubili.

<sup>23</sup> Wszystkie wspomniane tu dokumenty otrzymałam w oryginałach, a częściowo w odpisach z tego samego źródła.

Komendant, przebywając w fortecy magdeburskiej, żywił się w restauracji hotelu *Magdeburger-Hof* na Alte Ulrichstrasse 4 — we wrześniu 1918 roku przenosi się, nie wiadomo dlaczego, do *Bierrestaurant Patzenhofer*, na Bärstrasse 1, i już tu stołuje się do końca. Może dla taniości, gdyż rachunki Patzenhofera są o wiele przystępniejsze, niż w *Magdeburger-Hof*.

I tak np. rachunek w tym ostatnim za miesiąc wrzesień 1917 r. wynosił 411,50 marek, w czerwcu 1918 r. już 595,50 Mk. a za lipiec i sierpień liczą sobie 1.417,10 Mk., więc przeciętnie przeszło 700 Mk. za zupełną z mięsem i jarzynami i kolację. A *Patzenhofer* liczy sobie za wrzesień 1918 tylko 300 Mk., a za okres czasu od 1 października do 7 listopada — 380 Mk., więc różnica ogromna! Ceny rosły w Niemczech podówczas, to pewne, ale zdaje się, że *Magdeburger-Hof* dobre interesy robił na więźniach. Istotnie, przy tak skromnym życiu Komendanta, suma 7.244 Mk. i 60 fenigów za samo pożywienie wydaje się duża, dochodzi ponadto na inne wydatki, suma 1.318 Mk. 17 fenigów, czyli razem, od 23 sierpnia 1917 do 7 listopada 1918 r. = 8.562 Mk. 77 fenigów.

Rząd niemiecki wyasygnowywał na utrzymanie więźnia po 250 Mk. miesięcznie, razem sumę 3.500 Mk., resztę dosłało *Generalgouvernement Warschau*, tj. trzykrotnie po 1000

Mk. = 3000 Mk., a ponadto towarzysze partyjni z kraju raz 400 Mk. i drugi raz 1000 Mk., z których ostatnie nadeszły do Magdeburga 9 listopada, a więc nazajutrz po zwolnieniu Komendanta. Z Wesel odesłano wraz z więźniem do twierdzy magdeburskiej 68 Mk. 80 fenigów. Wszystkie fundusze Komendanta więc wynosiły razem 10.008 Mk. 75 fenigów. Z tego odpadło jeszcze 380 Mk. na jednomiesięczne utrzymanie gen. Sosnkowskiego i na koszty podróży obu panów, wypłaconych gen. Sosnkowskiemu 812 Mk. 5 fenigów.

Suma resztująca, 1.445 Mk. 98 fenigów, przeszedłszy przez ręce rebeliantów, Soldatenrathów, Ministerstwa Wojny, Poselstwa Duńskiego w Berlinie i naszych generalnych konsulatów, powróciła do Polski nienaruszona, co stwierdza własnym nieczytelnym podpisem pułkownik niemiecki Csattritz czy Buttwitz, zaiste piękne wystawiając świadectwo systematyczności swoich rodaków.

NA PODNIEBIU  
WARSZAWSKIM  
10 LISTOPADA  
1 9 1 8

I. ZA DNI „MAGDEBURSKICH“  
W W A R S Z A W I E

A TYMCZASEM, PODCZAS GDY KOMendant wędrował po wszystkich więzieniach i kazamatach niemieckich, Warszawa nie o Nim nie wiedziała. Przytłaczał ją nastrój niepokoju i zgnębienia pełen, okupanci stawali się coraz nerwowsi, wiadomości o istotnym stanie Europy napływały coraz skąpsze, konfiskowane energicznie. Coraz to zwracał się niepokój ludzki ku temu Wywiezionemu, który, On jeden, mógł dać odpowiedź na niewiadome oraz pewność i rękojmię, że nie nadaremnie tyle krwi ofiarnej przelało się w Polsce.

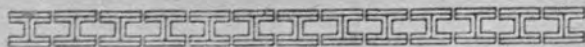
Pojawiały się ulotki, nalepki, odezwy, ściągane przez Niemców z pasją. W dniu Imienin Nieobecnego, 19. 3. 1918 r., chmara świsteczków protestujących i hołdowniczych zalała Warszawę. Jedne dawały tylko podobiznę Józefa Piłsudskiego, drugie, sprzedawane na cele konspiracyjne, podkładały okolicznościowy tekst Mazurkowi Dąbrowskiego:

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy,  
Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy.  
Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,  
Pod Twoim przewodem wejdzien do Warszawy,



## Marsz, marsz, Piłsudski!

1. Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy,  
Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy.  
bis { Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,  
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy.
2. Tyś nas zbudził do oręża, Tyś zbudził rycerzy,  
Przekonałeś, że zwycięża tylko ten, kto wierzy.  
bis { Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,  
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy.
3. Wstali Strzelcy-Legjoniści na Twe zawołanie,  
Dziś zwycięstwo nam się ziści: Polska zmartwychwstanie!  
bis { Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,  
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy!
4. Skruszymy złowrogie pęta, będziemy żyć w swobodzie,  
Nasza sprawa—sprawa święta—słuchaj nas narodzić!  
bis { Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,  
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy.



Wstali strzelcy-legioniści na Twe zawołanie,  
Dziś zwycięstwo nam się ziści: Polska zmartwych-  
[wstanie!  
Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,  
Pod Twoim przewodem wejdzem do Warszawy!

Inne miały ton wyłącznie protestacyjny, były tylko nawoływaniem do sprzeciwu, do przełamania milczenia:

„...W dniu dzisiejszym święcimy Imieniny Komendanta Józefa Piłsudskiego. Józef Piłsudski obrońca niepodległej Polski, twórca czynu zbrojnego, bojownik o prawa ludu — więziony jest przez Niemców za swą niezłomną wobec nich postawę. Bohater, którego czcimy wszyscy, a który nam dzisiaj przewodzić powinien, zamknięty jest w celi fortecznej! Pamiętajmy o tym! Milczenie nasze jest zgodą na gwałt! W dniu tym podnieść musimy głos protestu! Choć oddzieleni gwałtem od osoby Wodza, duszą naszą jesteśmy z nim. Niech żyje nasz Wódz Józef Piłsudski!...”

Ale czas mijał i nie przynosił żadnej odpowiedzi. Nadchodziły zgęszczone fale wiadomości o rewolucji w Niemczech, wrzeć zaczynało i u nas. Cierpliwość już się kończyła. Czuło się zbliżanie przełomu, a przecież Polska nie mogła wkraczać w nową erę bez swego Wodza.

On był jedynym człowiekiem, który mógł ująć rozszalałe wypadki dziejowe w Swoje ręce. Toteż nie posnęły organizacje przeróżne

nad zagadnieniem uwolnienia Komendanta. W ciszy tajnych zgromadzeń, coraz częściej, coraz nerwowiej, coraz goręcej, omawiano te sprawy, a kiedy zbliżał się koniec października 1918 r., czujna i zbrojna duchowo od stóp do głów Polska Organizacja Wojskowa (P. O. W.) uchwaliła wysłać emisariusza do Reichstagu w Berlinie, w pierwszym rządzie do polskich kół poselskich tamże — a wreszcie do samego Magdeburga z rozkazem przywiezienia *coute que coute* obu więźniów, Komendanta i Jego szefa sztabu, Sosnkowskiego.

Wybór padł na Czesława Świrskiego. Był to wypróbowany towarzysz partyjny, jeden z tych uczestników akcji pod Bezdanami, którzy najciężej „odpokutowali” czyn bezdański — on mianowicie 9 latami ciężkiego więzienia w cytadeli najpierw warszawskiej, potem kolejno w Rydze, w Butyrkach i wreszcie w katorżniczym więzieniu w Jarosławiu nad Wołgą, skąd go uwolniła pierwsza, bezkrwawa rewolucja rosyjska. Równy sto miesięcy przesiedział w samotnej celi. W lipcu 1918 roku wrócił do Polski. Zastał najstraszliwsze położenie, przygnębienie głębokie, dezorientację wzmożoną. Nie było przecież Komendanta...

Ale, jak ustawicznie wyczekiwany był ten Komendant — dowód, że w każdym z lekka podobnym do niego obywatelu tłum warszawski dopatrywał się Jego samego i szalał, urząda-

jąc niebywale demonstracje i owacje. I tak np. jednocześnie prawie z Czesławem Świrskim przybył do Polski generał wojska rosyjskiego, prawy Polak, Aleksander Osiński, dziś inspektor armii. Rysy jego wówczas przypominały cokolwiek Komendanta — nosił poza tym szaro-niebieski jakiś płaszcz i coś podobnego do maciejówki na głowie. Toteż, kiedy po raz pierwszy pokazał się na ulicy, nagle otoczył go tłum. Zrazu szept zdławiony, a potem coraz gwałtowniejsze okrzyki i wiwaty zaczęły się rozlegać wokół. Generał Osiński, zaskoczony, nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi, ale wnet z treści okrzyków zrozumiał, że wzięto go za „Więźnia magdeburskiego”. Musiał rejterować żwawo do bramy, a gdy tłum zaczął atakować bramę nie na żarty — zamknęto ją czym prędzej. Takie było ówczesne nastawienie ulicy warszawskiej.

## II. P R Ó B Y G W A Ł T U

**T**YMCZASEM DZIEŃ ZA DNIEM MIJAŁ, o rewolucji w Niemczech coraz groźniejsze dochodziły wieści — czuło się też wśród Niemców-okupantów w Warszawie coraz większy niepokój i konsternację, więc, jak się rzekło, P. O. W. zdecydowała się wysłać emisariusza do Niemiec, natychmiast, jak najspieszniej. Komendant jej ówczesny płk Adam Koc we-

zwał Czesława Świrskiego i zlecił mu zadanie. Niech robi co chce, niech atakuje polskich posłów w Berlinie, niech się zwróci do niemieckich partij socjalistycznych w Berlinie, w Magdeburgu, ale bez Komendanta wrócić mu nie wolno. Gorączkowo zabrał się Świrski do przygotowań. Przede wszystkim, licząc najbardziej na lewicowe organizacje niemieckie, postarał się o dokument od Polskiej Partii Socjalistycznej, niewyraźnie podający jego misję, ale polecający go jako człowieka „swojego“, któremu należy ufać i pomóc.

Otrzymał ów dokument dnia 7 listopada. Tymczasem śp. Lednicki czynił starania u władz niemieckich o paszport dla niego przez hr. Ronikiera. Kiedy jednak przyszedł Świrski po paszport obiecany do hotelu Europejskiego, nie zastał ani paszportu, ani Ronikiera. Służący oświadczył, że ten ostatni musiał nagle wyjechać do Berlina.

Wówczas, traf chciał, spotkał się Świrski u p. Grossmanowej z księciem regentem Zdzisławem Lubomirskim.<sup>24</sup> Ten mu obiecał nie tylko dostarczyć w paru godzinach paszport, ale, ponieważ przyszła wiadomość, że pociągi w Niemczech strajkują, ofiarował swój samochód na ową jazdę do Berlina i Magdeburga „na spotkanie Komendanta“.

<sup>24</sup> W czasie regencji, jednym z trzech regentów był Zdzisław Lubomirski.

Wszystko więc już było gotowe — nawet paczki z prowiantami przygotowane przez towarzyszek partyjne — i w sobotę, 9 listopada (1918), miał Czesław Świrski ruszyć „z do by wa ć” mury fortecy magdeburskiej. Nagle — w niedzielę, 10 listopada, gruchnęła wieść: KOMENDANT PRZYJECHAŁ!!!! Wrażenie zdławiło ludziom gardła. Istotnie, przyjechał rano, dżdżystym dniem jesiennym — od razu, w pierwszych godzinach powrotu, ujmując bieg spraw władcą, nieomylną ręką. Czesław Świrski nie wyjechał — a z jego niedosłej misji pozostały dwa tylko ślady: a) przepustka partyjna P.P.S., podpisana przez T. Arciszewskiego i b) list księcia Regenta, wręczony mu we środę 13 listopada.

„...Szanowny Panie (pisze Regent). Po natężonych ostatnich dniach, będąc już obecnie na odejściu od męczącego obowiązku, korzystam z chwili wolnej, aby poinformować, dla czego nie mogłem ułatwić Panu wyjazdu na spotkanie Piłsudskiego. W sobotę uwiadomiono mnie, że ma nazajutrz przyjechać, ale zaznaczono zarazem, że pewności nie ma, gdyż zwyczajne pociągi z Berlina nie odchodzą. Zostałem kartkę Pana późno, po powrocie do domu i nic pozytywnego nie wiedziałem. Dopiero około 10-ej w nocy przybyli mi powiedzieć, że dali Piłsudskiemu nadzwyczajny pociąg do Bydgoszczy i że o 7.30 rano, w niedzielę, przy-

Zaświadczenie partyjne, wydane 7. 11. 1918 r. Czesławowi Świrskiemu na podróż do Niemiec, będącą w związku z uwolnieniem Więźniamagdeburskiego.



jeżdża. O wyjechaniu na spotkanie nie było już mowy, uważałem zatem za niepotrzebne Pana uwiadamiać i postanowiłem (Piłsudskiego) przyjąć na dworcu.

Uważałbym za bardzo pożyteczne dla sprawy rozmówienie się z Panem jako zupełnie prywatny człowiek, gdyż ustąpienie nasze (Regencji!!) jest już tylko rzeczą formy. Żadnych funkcij nie spełniamy i oczekujemy powstania Rządu Narodowego i możliwości ogłoszenia ustąpienia, z większą niewątpliwie niecierpliwością od tych, co, w niezrozumieniu położenia, nieco zbyt gwałtownie wymagają natychmiastowego odejścia. Najchętniej przybędę do mieszkania Pana — proszę o doniesienie, kiedy Go zastać mogę, dzisiaj czy jutro? Może koło 5-tej będzie Panu dogadzać? Mam obecnie czas wolny. Załączam wyrazy szczerego poważania

Zdzisław Lubomirski.“

Lecz bieg zdarzeń wziął tak mordercze tempo, iż nie doszło do żadnych spotkań, prywatnych czy innych, gdyż już nazajutrz po tym liście Regenta, dnia 14 listopada, we czwartek, Regencja przestała istnieć i Józef Piłsudski objął rządy nad Rzeczpospolitą.

W trzy miesiące później był naczelnikiem państwa.

---

Wszędzie zrywali się ludzie ofiarni i gotowi na wszystko, polecając swoje służby w razie, gdyby został uchwalony zamach na twierdzę. Płk Adam Koc<sup>25</sup> opowiadał mi, jak bardzo bliski realizacji był np. śmiały i ryzykowny wyjazd śp. Andrzeja Korzeniowskiego do Magdeburga. Przebrany za lejtnanta pruskiego, z aroganckim monoklem w oku, miał udawać inwalidę wojennego, co przychodziło o tyle łatwiej, że Korzeniowski miał istotnie sztywną nogę wskutek rany otrzymanej na froncie, i że władał doskonale językiem niemieckim. Tylko nagły powrót Marszałka wstrzymał ten wyjazd, równający się prawie wyrokowi śmierci.

Śp. gen. Stachiewicz był też jednym z tych, którzy planowali z ramienia P.O.W. uprowadzenie Więźnia magdeburskiego.

<sup>25</sup> Adam Koc, wielki działacz niepodległościowy, b. komendant Związku Strzeleckiego w Warszawie przed wojną światową. Później komendant Okr. Warszaw. P. O. W.

Ale nie tylko na gruncie warszawskim rwa-  
no się do tej akcji! Przepotężne macki P.O.W.  
zagarnęły były już dawno tereny zaboru nie-  
mieckiego — docierały do Polaków w woj-  
sku pruskim służących, więc tam też obu-  
dziło się pragnienie, wzbierające coraz na mo-  
cy, aby wyrwać Marszałka z celi fortecznej.  
P.O.W.Z.P. (zabór pruski) była dość słaba.  
Siły i kolorów nabrała dopiero po rewolucji  
niemieckiej w Poznaniu; ona to wtedy rzuciła  
się do energicznej akcji werbunkowej, a aktem  
znanym pod mianem „zamachu na Ra-  
tusza“ (dnia 13. 11. 1918) steroryzowała  
Niemców do tego stopnia, iż w radzie tamtej-  
szej uzyskała większość polską. W ogóle wia-  
domo, że gdyby nie zbyt przyśpieszony przy-  
jazd Paderewskiego i nie działalność tchórzli-  
wej Naczelnej Rady Ludowej i Komitetu Oby-  
watelskiego, który przerzucił termin powsta-  
nia z 15 stycznia 1919 na 27 grudnia 1918  
i który wstrzymał pęd ku wyzwoleniu Śląska,  
natychmiastowemu odebraniu Pomorza, roze-  
grania sprawy gdańskiej etc., inny obrót, łat-  
wiejszy i pomyślniejszy, byłyby wzięły inte-  
resy polskie na odcinku niemieckim.

Już od r. 1914 wszakże istniała P.O.W., pra-  
cując całą parą, werbunkowo i ideowo, pod za-  
borem rosyjskim i niemieckim. Proroczy duch  
Marszałka przewidział, że walcząc na razie  
u boku Niemców i Austriaków, doczeka się

chwili, kiedy trzeba się będzie obrócić przeciw nim, bowiem oni ani piędzi ziemi polskiej nie oddadzą dobrowolnie. Ta genialna równoczesność i równoległość działań na wszystkich frontach, ta gotowość zbrojna na wszelkie ewentualności i niespodzianki, były źródłem mocy i źródłem zwycięstwa Józefa Piłsudskiego. Nie mogła Go zaskoczyć ani nielojalność współkombatantów, ani ich intrygi, ani zmiany jakiegokolwiek w obliczu „wojny ludów“. Duch Jego jasnowidzki czuwał nad Polską. Jednak nie dla wszystkich były dostępne te trudne i zawikłane drogi Józefa Piłsudskiego. Niejedna przeciętność nazywała tę politykę krętą, zygzakowatą, nierówną, nieobliczalną — mimo, że nie było dotychczas w historii świata planu równie natchnionego duchem proroczym i równie nasyczonego genialnością obliczeń. Był więc ten, który niczego nie rozumiał, wrogi do cna, był ten, który rozumiał i wierzył, i był ten, który tylko wierzył ślepo, nie rozumiejąc. Ci dwaj ostatni, jednako żarliwi, gotowi byli spełniać rozkazy i oddać życie, gdy tego zażąda sprawa czy osoba Wodza.

Ale wracajmy do magdeburskiego tematu. Ledwo się pojawiły moje artykuły w Kurierze Porannym na temat powyższy, zaczęły napływać listy, wiadomości i informacje, jedne ciekawsze od drugich. Między innymi otrzymałam list od p. Józefa Ratajczaka, obecnie ka-

pitana jednego z pułków strzelców poleskich, a w nim uwagę, że sprawa wykradzenia Marszałka Piłsudskiego z twierdzy magdeburskiej była najszczegółowiej opracowana i przygotowana na terenie poznańskim, o czym mnie bliżej poinformować może p. Wincenty Wierzejewski, b. komendant główny P.O.W.Z.P., obecnie kpt. w. p., dalej por. Alfons Radomski, Szczepan Piechocki, Stanisław Saroszewski, ówczesny szef sztabu Komendy P.O.W.Z.P. w Poznaniu itd.

Zwracałam się kolejno do wyżej podanych, lecz nie wszystkich udało mi się odszukać. Zgłosili się tylko, z niezwykle uprzejmą gotowością, pp. Alfons Radomski i Stanisław Saroszewski. Ten ostatni bardzo obszernie zdaje relację z planów P.O.W.Z.P. Nazwę P.O.W. na grunt poznański przeszczepili z terenu b. Kongresówki dezenterzy z wojska niemieckiego, którzy przez ówczesną granicę niemiecko-rosyjską uchodzili do Kongresówki, by ukryć się przed pościgiem władz wojskowych i żandarmerii. Tu zaś, w Warszawie, natychmiast wciągani byli do rozmaitych ideowych organizacji polskich — często do P.O.W. — po czym wracali niejednokrotnie na ziemie zaboru pruskiego, jako łącznicy, względnie emisariusze. Początek takiego przechodzenia granicy datuje się od końca 1915 lub początku 1916 r. Z czasem przechodzenie to stało się ro-

dzajem sportu i niejeden szczyił się wielokrotnym bezkarnym przekradaniem się przez pilnie strzeżoną granicę.

W ten to sposób ryzykowny przedostała się do zaboru pruskiego nazwa P.O.W. i nawiązała się łączność z Komendą Główną P.O.W. Warszawa. Komendantem bojówek niepodległościowych w Poznaniu był do dnia 12. 11. 1918 Wincenty Wierzejewski, dezterter niemiecki, a członkami P.O.W.Z.P. byli, jak się rzekło, tacyż sami dezterterzy oraz żołnierze czynni wojska pruskiego, którzy, według instrukcyj otrzymywanych z Komendy Głównej, operowali możliwie destrukcyjnie wśród szeregów niemieckich, a na froncie współdziałali z wywiadem wojsk walczących przeciw Niemcom, uprawiali sabotaż tj. rozmyślne niszczenie sprzętu wojennego, kolei etc. Jak prawie wszyscy peowiacy, co dzień tym samym zaglądali śmierci w oczy.

---

Myśl uprowadzenia Józefa Piłsudskiego z magdeburgskiego więzienia powstała wśród peowiaków na początku roku 1918. W dniu 4 lutego (data zapamiętana dokładnie przez p. Saroszewskiego, jako dzień, w którym zdezerterował z wojska niemieckiego) schadzka peowiaków odbyła się pod przewodnictwem Wincentego Wierzejewskiego w Muzeum Miel-

żyńskich w Poznaniu, w mieszkaniu kustosza, także peowiaka, Władysława Maciejewskiego. Obecni byli, poza wyżej wymienionym przewodniczącym: Henryk Dembiński, Józef Dunst-Dembiński, Alfons Gorzelańczyk, Mieczysław Kucharski, Stanisław Saroszewski, Roman Skoraszewski i Sylwester Węglarz. Dwie sprawy były na porządku dziennym: uwolnienie Marszałka z Magdeburga i protest przeciw traktatowi brzeskiemu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności ta druga sprawa przeszkodziła pierwszej. Mianowicie, przy rozlepianiu uchwalonego wówczas protestu, zostali wyłapani i poaresztowani „ważni” peowiaczy; równocześnie wzmogła się czujność władz niemieckich, tak, że niepoaresztowana reszta musiała się w znacznej ilości schronić za kordon, ścigana listami gończymi, jako dezterterzy i zbrodniarze polityczni. Ale projekt magdeburski nie upadł — odwlekl się tylko.

Główna Komenda w Warszawie była już dobrze poinformowana o istnieniu bratniej odnogi w zaborze pruskim; łącznikiem był niejaki „Ordon”, ale, zdaje się, kontakt dwóch gałęzi peowiackich, z których ta z zaboru rosyjskiego była niewątpliwie wytrawniejsza, pozostawał wciąż utrudniony. Bez ścisłej wymiany instrukcyj każda z nich marzyła o uwolnieniu Tego, który wszystkim bojow-

com niepodległościowym był wodzem i wozem.

Stanisław Saroszewski opowiada, że Wincenty Wierzejewski nawiązał zbliżenie z Główną Komendą Warszawską, że może dotarł nawet do samego Adama Koca, wysuwając poznkański plan zamachu na Magdeburg — a, o ile plan ten wydał się Komendzie Warszawskiej dostatecznie realny i w pewnych spoczywających rękach, to jasne jest, że uznała powiazków z zaboru niemieckiego za najodpowiedniejszych do akcji. Ci ostatni mieli znacznie łatwiejsze zadanie w razie czego, niż ktokolwiek inny, bowiem znali miejscowe stosunki, posiadali lokalny akcent polski i niemiecki, no i kolegów mieli rozsiianych po niemieckich pułkach. W początkach roku 1918, P.O.W.Z.P. pracowała w dodatku znacznie sprawniej, gdyż posiadała już, między innymi, biuro paszportowe, mogące zaopatrywać w fałszowane dokumenty, zezwolenia na przejazdy etc. swoich członków.

Taką też podróż za fałszywymi papierami odbył do Warszawy dezertor Wincenty Wierzejewski, przebrany w mundur żołnierza pruskiego, pod nazwiskiem Józef Warecki. Towarzyszył mu Pluciński, kulawy poznańczyk, wydalony ongiś z granic państwa rosyjskiego za rozbicie cegłą głowy żandarmowi podczas demonstracji w roku 1905. Stanisław Saroszew-

ski, vulgo Wawrzyn Zaleski, przybył też do Warszawy w tej samej sprawie uwolnienia Marszałka, jak również w sprawie dostawy broni dla warszawskiej P.O.W. W roli odbiorcy na tę broń występowała dzisiejsza Centralna Komisja Dostaw Harcerskich, co Saroszewskiemu ułatwiało zadanie, gdyż figurował jako delegat „Głównej Kwatery Skautowej na Rzeszę Niemiecką w Poznaniu“ do „Głównej Kwatery Harcerskiej“ w Warszawie i miał nawiązać łączność obu kwater.

Zamieszkał z Wierzejewskim u ks. Jana Mauersbergera przy ul. Senatorskiej i tu zetknął się z peowiakami: Olewińskim i Rudnickim, oraz z Marią Wocalewską, działającą dotychczas czynnie w związkach harcerskich. Warszawa zobowiązała się dostarczyć Wierzejewskiemu sobowtóra Marszałka Piłsudskiego, którego miało się podstawić w twierdzy magdeburskiej przy uprowadzeniu Go, aby uniemożliwić, a przynajmniej odwlec, ewentualny pościg. Posiadał ten sobowtór jeden błąd: podobny bardzo do Marszałka Piłsudskiego, był niestety kulawy, ale ostatecznie nie przedstawiało to zbyt zasadniczej przeszkody. Jaką drogą? Stanisław Saroszewski nie wie, ale Komenda P.O.W.Z.P. otrzymała definitywnie zlecenie uprowadzenia Marszałka i to możliwie najśpieszniej.

Wydelegowany został do tej wysoce niebezpiecznej, trudnej i zuchwałej imprezy Stanisław Saroszewski. Po powrocie do Poznania wziął się przede wszystkim do wyszukania człowieka, który by doskonale znał Magdeburg i topografię twierdzy. Szybki wywiad wśród peowiaków dał wynik nader pomyślny. „Dziś siątka“ śremska zawiadomiła, iż mieszka w Śremie Polak, świeżo zwolniony z wojska niemieckiego, który pełnił w Magdeburgu służbę w oddziale wartowniczym twierdzy. Składało się więc wszystko znakomicie. Saroszewski śpiesznie wyjechał do Śremu i zapoznał się z owym meldowanym b. wartownikiem; otrzymał dokładny plan miasta i szczegółowy plan twierdzy, jak również nazwiska wszystkich oficerów i podoficerów garnizonu, grasujących w obrębie murów fortecznych, rozkład godzin służbowych, opis zwyczajów miejscowych, rygorów etc. Wskazani zostali również żołnierze, którzy by ewentualnie pomagali w dotarciu do odnośnej celi.

Oczywiście, Saroszewski nie wymieniał nazwiska Więźnia — ogólnikowo tylko mówiło się, że chodzi o „jednego z uwięzionych“. Informator śremski, udzieliwszy swoich bezcennych wiadomości, nie myślał ryzykować osobiście; zresztą niefachowiec, niekonspirator, mógł tylko popsuć robotę. Poprzestano więc na jego biernym uczestnictwie. Teraz na-

leżało poszukać kogoś stale w Magdeburgu przebywającego i to możliwie w najbliższym promieniu twierdzy. Okazało się wtedy, że P.O.W.Z.P. sięga aż do samych wrót celi Marszałka Piłsudskiego, bo w oddziale wartowniczym pełnił służbę peowiak, drukarz z zawodu, Szczepan Piechocki. Wezwała go więc Komenda z końcem października 1918 r., aby się bezzwłocznie, pod jakimkolwiek bądź pozorem, stawił w Poznaniu. Chodziło o ustne omówienie z nim całej akcji, jak również o uzyskanie z jego dokumentu urlopowego wzoru pieczęci i podpisu dowództwa twierdzy magdeburskiej. Inaczej nie dałoby się sfalszować przepustek na przejazd bojówki.

Plan tedy cały był już gotów i opracowany. Saroszewski, jako wyszkolony żołnierz niemiecki, miał natychmiast wyjechać do Magdeburga wraz ze sobowtórem Józefa Piłsudskiego, obaj przebrani w mundury pruskie. Piechocki miał współdziałać na terenie twierdzy, względnie miał być do zamachu wciągnięty jeszcze jeden peowiak, Stanisław Dąbrowski, człowiek niesłychanej zuchwałości i odwagi. On to w biały dzień, ostrzeliwany gęsto przez straż, uciekł przed sądu wojennego w Szpan-dawie i dotarł najspokojniej do Poznania. Techniczna jego pomoc była nieoszacowanej wartości, brano bowiem pod uwagę i ewentualne „unieszkodliwienie“ wartownika,

gdyby zbyt gorliwie przeszkadzał w wykonaniu planu. Podstawiony miał być wówczas na jego miejsce Piechocki, ale mogło się też zdarzyć, że dyżur wypadalby akurat na Piechociego i on byłby tym „przeszkadzającym”. On wtedy udzieliłby instrukcji, hasła itd.

Współudział większej ilości osób był wykluczony, gdyż swoboda ruchów całej ekspedycji była i tak mocno utrudniona ze względu na sobowtóra, o którym nie wiadano nawet, czy zna język niemiecki. Rzecz miała się odbyć późnym wieczorem, albo z „wejściem” za sfalszowanymi dokumentami, albo bez dokumentów, przed capstrzykiem, tj. przed godz. 21-ą. Ponieważ projektowano wyjście Marszałka z twierdzy w mundurze żołnierza pruskiego, więc Saroszewski miał mieć na sobie dwa mundury, jeden na drugim. Po opuszczeniu twierdzy mieli się wszyscy jak najśpieszniej udać do Poznania, gdzie czekały dalsze decyzje.

Nie ulegało wątpliwości, że plan się powiedzie. Oddziały wartownicze rekrutowały się z pospolitego ruszenia, ludzi starszych wiekiem, ojców rodzin, oraz z najmłodszych roczników, niezdatnych do służby frontowej, lub takich, którzy się obijali już po wszystkich frontach i mieli służby wojskowej powyżej uszu. Element więc średni jako obrona for-

tów. Zaś po stronie zamachowców znajdowali się ludzie gotowi na wszystko, wytrawni i „fachowi“ w podobnych imprezach, jak taki Dąbrowski, uciekinier z wojska i z cytadeli szpan-dawskiej, jak Saroszewski, który tylokrotnie szmuglował broń z Poznania do Warszawy, a aresztowany raz w Aleksandrowie Kujawskim „wymigał“ się z niezwykłą zręcznością. Słowem — przewaga była bezsprzecznie po stronie zamachowców, tym więcej, że mieli jeszcze dokumenty i paszporty ludzaco pofałszowane.

Inna rzecz, że wszystkim im groziła śmierć bezapelacyjna w razie ujęcia: wszyscy byli dezterterami, uciekinierami sprzed sądów wojennych, no i złapani na gorącym uczynku uwalniania politycznego więźnia z twierdzy w czasie wojny — nie mieliby ani jednej dla siebie wymówki i żadnego ratunku. Cóż to jednak znaczyło dla tej ofiarnej garstki wobec perspektywy uwolnienia Józefa Piłsudskiego, który był, w danej chwili zwłaszcza, jak nigdy jeszcze, Polsce potrzebny?

Lecz — jak zawsze, jak wszędzie — uprzedził wszystkich sam Marszałek.

Szczepan Piechocki zdołał przybyć do Poznania dopiero 10 listopada 1918 r. to jest akurat w chwili, kiedy Marszałek zajeżdżał do Warszawy, wolny już i już ujmujący ster w swoje władcze dłonie. Lecz o tym Poznań nie

wiedział jeszcze. Piechocki potwierdził tylko wiadomość o szerzeniu się ruchu rewolucyjnego, o buntach nawet wśród załogi wartowniczey w Magdeburgu, lecz o Marszałku nie wiedział nic. W tym chaosie zdarzeń, w tej powikłanej, niejasnej sytuacji, nie opuszczano rąk — zmodyfikowano tylko plan zamachu na twierdzę magdeburską, mianowicie postanowiono zrezygnować z sobowtóra. Zamęt rewolucyjny w całej Rzeszy i dezorganizacja w formacjach wojskowych, aż do oddziałów wartowniczych włącznie, czyniły ostrożności zamachowców zbędnymi.

Ledwo wylądował Piechocki, wybuchła w tymże Poznaniu rewolucja niemiecka — P.O.W.Z.P. rozpoczęła półjawnny już werbunek; co do Magdeburga, nie mogąc ustalić, czy ruch rewolucyjny nie uwolnił już wszystkich jeńców twierdzy, wysłano stałego kuriera, Leona Bąbola, do Warszawy, celem zrekonowienia terenu. Nakazano mu powrót natychmiastowy z wiadomościami, aby móc bezwzględnie wyruszyć do Magdeburga. Bąbol jednakowoż zdołał wrócić dopiero w parę dni, przywożąc raport delegata P.O.W.Z.P. przy Głównej Komendzie Warszawskiej, Józefa Jęczkowiaka (pseud. Józef Sułkowski), z datą 17 listopada 1918 r.

Raport zaczynał się od magicznych słów:

„...KIEDY 10 BM. RANO POWRÓCIŁ KOMENDANT PIŁSUDSKI Z NIEWOLI...”

Komendant wolny!!! Radość szaleńcza opanaowała wszystkich, a tylko w głębi serc zamachowców kołatał się maleńki żal, wstydliwie ukrywany, że nie udzielił im los owej łaski przysłużenia się nieznanemu osobiście, a ukochanemu ponad życie Wodzowi.

„...A zresztą — kończy swoją opowieść Stanisław Saroszewski — czy my wiemy, jakby się był odniósł do nas Więzień Magdeburski? Możeby wogóle nie chciał wyjść z celi, jako, że przebywał tam na znak protestu, czyniąc akt polityczny i z gwałtu niemieckiego i z tej całej udręki więziennej? Drogi Józefa Piłsudskiego wszakże były równie nieomyłne, jak niezbadane i o nieprzewidzianych zakrętach...”

Słusznie rozumuje dzielny żołnierz Stanisław Saroszewski, ale fakt pozostaje faktem, że jak Polska długa i szeroka, wszędzie, nie oglądając się na grozę śmierci i niebezpieczeństw, żołnierze Komendanta gotowi byli oddać życie dla Niego.

— — — — —

Wróćmy jednak teraz do Jego przyjazdu na Dworzec Główny w Warszawie, dnia 10 listopada, niedzielnym rankiem, i idźmy Jego śladem.

## III. PENSJONAT NA VI PIĘTRZE

**N**A ULICY MONIUSZKI 2a, NA VI PIĘtrze, prowadziły pensjonat trzy siostry Romanówny: Halina, Wanda i Maria. Dziwny to był pensjonat. W pokojach mieszkały podejrzane ze wszech miar osobniki, światła dziennego się obawiające i omijające gorliwie wszelkie władze okupacyjne. Nosiły przy tym przeważnie po kilka nazwisk i imion: Rydz-Śmigły-Krajewski, Adam Koc-Obywatel Witold, Bogusław Miedziński-Świstek i inni, również zakonspirowani, tajemniczy: Kasprzycki, Moraczewski, Jur, Hausner, młody Andrzej Korzeniowski itp.

Interesy trzech sióstr musiały iść nietęgo, zważywszy na raczej skromne dochody tego dziwnego pensjonatu i nikłe portfele ich lokatorów. „Obywatelka Faustyna“, czyli Wanda Romanówna, znała wiele tajemnic. Często, na rozkaz kogoś z lokatorów, wyjeżdżała raptem, z pliką zaszytych papierów, i wracała tak samo nagle, cicho, niepostrzeżenie, żeby potem długie i tajne prowadzić rozmowy z tymiż lokatorami.

Obywatelka Faustyna wróciła z Belgii, z Thildonck, z klasztoru ss. urszulanek, gdzie miała zamiar przywdziać habit, odszupasowana przez Niemców z chwilą, gdy zajęli Belgię, no i — Warszawę. A kiedy wszystkie sprawy



Obywatelka „Fau-  
styna” (Wanda Ro-  
manówna). Gorliwy  
członek P. O. W.  
Dziś s. Emanuela  
zmarłychwstanka.

kraju zostały uporządkowane pod natchnioną ręką Naczelnika Państwa Piłsudskiego, obywatelka Faustyna dotrzymała ślubów „sobie samej i Bogu złożonych za odrodzenie Ojczyzny“, i w rok później przywdziała habit ss. zmartwychwstanek, tym razem na dobre, nowe nosząc imię, mniej już zakonspirowane, siostry Emanueli. Są zakonnice, jak s. Barbara Żulińska, jak Stankiewiczówna, felicjan-ka, odznaczone wysokimi orderami i stopniami oficerskimi, ale chyba s. Emanuela jest jedyną mniszką w Polsce z marką byłej peowiaczki, krzyżem niepodległości z mieczami itd.!! Któż by odgadł w owej zakonnicy, dzwoniącej różańcami, tę młodą dziewczynę, którą się widziało 16 lat temu, siedzącą samotnie przy karabinie maszynowym, na placu Saskim, w gotowości bojowej?...

Tymczasem nie było jeszcze mowy o habicie, gdy w sobotę 9 listopada 1918 roku tajemniczy lokatorzy obywatelki Faustyny zaczęli okazywać zatrważający niepokój. Właściwie, gdy wieczorem niektórzy z nich przynieśli pewną wieść, rozgłoszoną jedynie w ścisłym kole — nikt już nie pomyślał o śnie na całym prawie VI piętrze. W mieście padały tu i ówdzie strzały pojedyncze, ale trzeba by chyba salwy armatniej, aby ją usłyszano na tym zatarasowanym podniebiu, na którym co prawda i serca nazbyt głośno waliły w tej chwili...

Świtem, a późny jest świt w listopadzie, wybiegł ze swego pokoju lokator, zwany obywatelem Witoldem (płk Adam Koc) i — za sekundę wrócił po parasol do obywatelki Faustyny (nawiasem mówiąc, nigdy go jej nie oddał, czego mu ta świętobliwa dusza zapewne nie pamięta), a około 8-ej rozwarły się z trzaskiem drzwi wejściowe do pensjonatu i wszedł jakiś człowiek w siwawym mundurze, z krótkim oficerskim bagnetem pruskim u pasa:

### KOMENDANT!!!

A za nim tłum — tłum, którego ogon kończył się, zdaje się, na Frascati, bo od Frascati, od regenta ks. Lubomirskiego, jechał „Więzień magdeburski“.

Buchnęło drzwiami jakieś wzruszenie tak potężne, że twardzi żołnierze zaczęli płakać jak dzieci. Pierwszy zapłakał Jur-Gorzechowski, mitygowany energicznie przez pułkownika Koca, ze słabym jednak skutkiem, jako, że sam dawał najfatalniejszy przykład. Czuł zresztą ostatni ciura, że nie ma tu miejsca zdarzenie, takie czy owakie, ważne czy nieważne, ale, że przewraca się karta w dziejach Polski, że w tej chwili przechodzi Historia z przedpola legendy i marzeń na wielki, realny teren rzeczywistości.

Cała kamienica 6-piętrowa zaczęła się po prostu trząść w posadach. Tłum zapchał scho-

dy, podwórze, ulicę Moniuszki, plac Napoleona, Nowy Świat i zdawało się, że gardła pękną tej tysięcznej ciżbie od okrzyków...

#### IV. WINDA NA GÓRĘ

**W** DZIEŃ ROCZNICOWY, 10 LISTOPADA 1934 r., poszłam w pielgrzymce do tego domu przy ul. Moniuszki 2a, do kamienicy, należącej obecnie do Banku Polskiego. Jest lśniąca, solidna, reprezentacyjnie marmurowa, wyniklowana, z biurami i reklamami i—rozmyślam, jak mało ludzi wie, że pierwszy krok w oswobodzonej Polsce postawił oswobodzony Komendant tutaj (nie licząc parominutowego postoju w pałacu Lubomirskich na Frascati), że tu nastąpiły pierwsze manifestacje, stąd poszły pierwsze rozkazy, jeszcze zapewne ustne, że stąd, z balkonu II piętra, z mieszkania księstwa Stanisławostwa Lubomirskich przemówił po raz pierwszy w wolnej Polsce Józef Piłsudski.

Księżna obdzierała na gwałt własny kapełusz z białych kwiatów, aby je domieszać do czerwieni przygodnej szarfy, którą balkon udekorowano na poczekaniu—a tłum patrzył, chłonał oczyma, bo z tego, co mówił Komendant, nie słyszał ani jednego słowa. Wszakże od wiwatów dygotała kolumna Zygmunta,



Balkon na II p.  
w mieszkaniu księ-  
stwa St. Lubomir-  
skich przy ul. Mo-  
niuszki 2a, z któ-  
rego w wolnej Pol-  
sce pierwszy raz  
przemawiał Komen-  
dant 10. 11. 1918 r.

a Komendant kłaniał się, uśmiechnięty... Wystarczał Jego widok bezcenny. W pewnej chwili jednak dał znak ręką, chciał, aby Go usłyszano, i wtedy tłum zamarł. I o tej to chwili, o władztwie Piłsudskiego nad tłumami, opowiadał mi w 17 lat później pruski oficer, który Go przywiózł z Magdeburga, van Gulpen.

Jedziemy windą na VI piętro.

I windziarz jest ten sam, co w roku 1918, Stanisław Kuszał, dozorca. Poznaje dawną właścicielkę pensjonatu, która mi towarzyszy, wita się i zaczyna opowiadać, co się tu działo akurat 16 lat temu. Takich tłumów, powiada, nikt już nigdy oglądać nie będzie, ani takiej radości. Trzy czwarte mieszkańców Warszawy tłoczyło się wokół, wielokilometrowym pierścieniem. Motor windy, powiada, tak się rozgrzał od ciągłego jej latania w górę i w dół, że musiał go wciąż okładać mokrymi płachtami.

— Nie znałem nikogo z tych dzisiejszych wielkich figur — dodaje Kuszał — ale pana Marszałka pamiętam doskonale. Zresztą wiozłem Go w marcu 1925, także tutaj, windą, kiedy przyjeżdżał do chrztu trzymać Andrzejkę i Baśkę Świrskich...

Dawnego pensjonatu pp. Romanówien już nie ma, są teraz same prywatne mieszkania. Dzwonimy do tego, w którym zatrzymał się 16 lat temu Marszałek. Mieszka w nim obec-



Biurko Komentanta z Jego pokoju przy ul. Moniuszki 2a, w pensjonacie panien Romanówien (dziś jest własnością gen. Góreckiej).

nie artystka p. Karlińska, bardzo uprzejmie pozwalająca nam buszować po pokojach i... wspomnieniach. Słucha też uważnie i ze zdziwieniem, co tu się działo apokaliptycznego w tych jej cichych, wesołych pokojach.

Tu, w środkowym, była przyjmowana przez szefa ob. Sosnkowskiego pierwsza delegacja niemieckiej Rady Żołnierskiej, wieczorem 10 listopada. Siostry Romanówny nie miały grosza w kieszeni, więc posłały po kolację na 10 osób „na borg“ do hotelu Angielskiego. Hotel przysłał kolację natychmiast, a dowiedziaw-

szy się, że tu zajechał Komendant Piłsudski, odmówił przyjęcia zapłaty. Niemcy jeść nie chcieli. Tylko przy zamkniętych szczelnie drzwiach gadano długo, a kolacja stygła.

Obok stołowego, na prawo, sypialny Komendanta, a dalej sypialny szefa ob. Sosnkowskiego. Kiedy Komendant poszedł do łazienki, pozostawiwszy swój więzienny, magdeburski sweterek na tapczanie, panie stoczyły bój o zaszczyt obcierowania tego muzealnego obiektu, tak dziurawego, że ostatecznie pracy starczyłoby na nie wszystkie. Ale w danym wypadku każda była stuprocentową ekskluzywistką — solidarność wykazawszy dopiero w rozrzewnieniu, gdy wypadł z kieszeni tegoż sweterka więzienny grzebień i kawałek magdeburskiego mydła.

A tymczasem drzwi pensjonatu się nie zamykały. Nie zdążył się jeszcze Komendant przebrać i ogolić, gdy już zaczęły defilować wytuzurkowane delegacje, uniżone i wycylindrowane, — dalej zastępy młodzieży, nie mogącej opanować wzruszenia — legionści i peowiacy, promienni, jak w transie składający raporty — zbite szeregi ludzi, z pytaniami, no i ze zwyczajną tylko, szaleńczą radością, która musiała owinać się dokoła nóg Komendanta.

Wreszcie w pokoju, gdzie zamieszkał ob. Sosnkowski, a dawniej Rydz-Śmigły i Koc, ustawiono fotel (przechowany, wraz z resztą



Meble i obrazy z pokoju przy u Moniuszki 2a, d którego zajecha Komendant 11 listopada 1918 r. (Meble te są obecnie własnością gen. Haliny z Romanó Góreckiej). Fot na prawo jest tylna którym siedzi Marszałek, gdy M tego dnia wręczał Jego pozostawioną w Polsce szablę.

umeblowania i biurkiem, u p. Haliny Romanówny dziś generałowej Góreckiej). Na tym fotelu posadzono uroczyste Komendanta, aby delegacja, z ob. Prystorem na czele, mogła Mu wręczyć... szablę. Komendant zostawił ją w Polsce w przeddzień aresztowania. W Magdeburgu, nie zdejmując munduru legionowego żadnej broni nie posiadał, dopiero w Berlinie, gdy nie chciał wyjść na miasto w mundurze a bez szabli, wręczył Mu szarmancko hr. Kessler, konwojent, krótki oficerski bagniet pruski. Nieposób było oczywiście, aby Komen-

dant zaczął pędzić Niemców z Warszawy ich własnym bagnetem — poza tym miał tu, jak się rzekło, swoją własną, ukochaną, symbolicznie wypróbowaną szablę polską, którą Mu zwrócono, zawiniętą w amaranty.

I tak goniły wypadki, jak tabun koni. Komendant po trzech dniach przeniósł się na ul. Mokotowską, gdzie w apartamentach Dymyzy, b. posła do Dumy, mieszkał Czesław Świrski — a 29 listopada tego roku, w rocznicę listopadowego powstania, aby Historii i jej odwetom stało się zadość na całej linii, otworzył podwoje pałacu Belwederskiego, a w trzy miesiące później przyjmował tutaj pokłon jako Pierwszy Naczelnik Rzeczypospolitej Polskiej.

Bo nie tylko „Historia wciąż dla nas pracowała“, jak mówił Józef Piłsudski, ale On sam był i jest Historią Polski.



## SPIS RZECZY

|                                            | Str. |
|--------------------------------------------|------|
| WSTĘP . . . . .                            | 7    |
| GDANSK . . . . .                           | 15   |
| SZPANDAWA . . . . .                        | 33   |
| REWIA KOMENDANTA . . . . .                 | 52   |
| WESEL . . . . .                            | 63   |
| GAUJÄGERMEISTER FÜR GROSS-BERLIN . . . . . | 72   |
| MAGDEBURG . . . . .                        | 93   |
| DOPEŁNIACZE I PRZYCZYNKI . . . . .         | 132  |
| NA PODNIEBIU WARSZAWSKIM 10 LISTOPADA 1918 | 141  |

*[Handwritten signature]*

*16 Aug*

139559



00016

